ŁOWIEC POLSKI

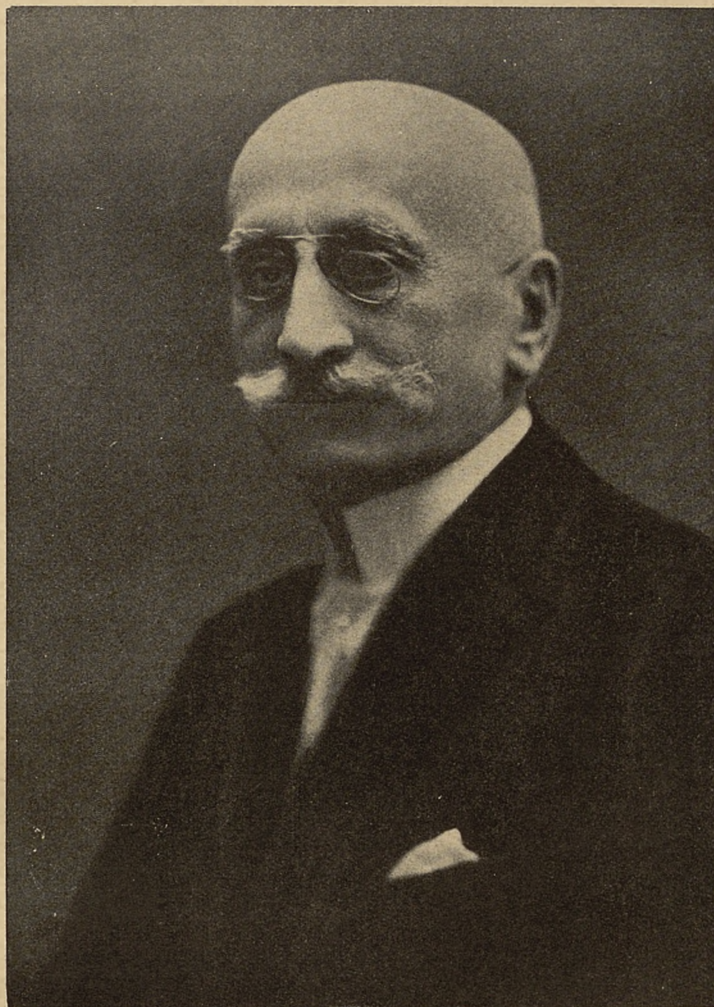


Wyciąganie dzika z ostępu. Fot. J. ks. Jabłonowski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 3 (923) 1 LUTEGO 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Ś. P. STANISŁAW ZABOROWSKI

DOKTÓR MEDYCYNY, KAWALER LEGJI HONOROWEJ
ZASNĄŁ W BOGU W DNIU 21 STYCZNIA 1939 R.



Ze śmiercią Dr. Stanisława Zaborowskiego, „Łowiec Polski" traci wyjątkowo wartościowego współpracownika i członka Komitetu Redakcyjnego, znakomitego piewcę kniei polskiej, który ześrodkowywał w sobie najsubtelniejsze uczucia myśliwego-poety i najtrafniejsze poglądy na wartość rodzimego łowiectwa, będąc zarazem kryształowym — choć surowym i nieustępliwym — wyznawcą zasad etyki myśliwskiej, złączonych nierozerwalnie ze wspaniałemi tradycjami polskiego łowiectwa.

Cześć jego prochom!

REDAKCJA I KOMITET REDAKCYJNY „ŁOWCA POLSKIEGO".

AUTOR „W SERCU KNIEI" ODSZEDŁ...

Wśród pokaźnej liczby polskich myśliwych, ba! — nawet wśród ćwierć tej liczby dziś liczącego szeregu prawdziwych Braci z pod sztandaru św. Huberta, zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim, był ś. p. Stanisław Zaborowski niezbyt powszechnie znany.

A to dlatego, że Jego pióro, tak pożądane w swym czystym wyrazie ojczystego języka i w swem niezwykle pięknem malowaniu obrazów przyrody i uczuć zespolenia z nią, tkwiących we wszystkich rzetelnych sercach myśliwskich, nie narzucało się czytającemu łowieckiemu ogółowi. O, bo skąpy był w swych pisanych słowach Autor obrazów myśliwskich „W sercu kniei"!...

Lecz za to wśród starszego pokolenia, wśród średniego wiekiem następnego — myśliwych prawdziwie kulturalnych i przepojonych najlepszemi tradycjami, zachowanemi jak najdroższy skarb lepszych dni polskiej kniei i łowiectwa, mieszkał stale wielki żal, że Zaborowski nie pisze...

Wszakże to tak długie lata minęły od czasu, gdy kiedyś przed wielką wojną powstała tak popularna wśród wybranych, dziś, niestety, całkowicie wyczerpana książka, w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu myśliwska: „W sercu kniei".

Bo też w pamięci każdego z tych „dawnych" tkwią wspaniałe opisy, niepospolitym nerwem pisarskim i poprostu niezwykłem sercem myśliwskiem pisane.

Któż z nich nie powtarza mimowoli za Zaborowskim, kiedy, sam wśród kniei się znajdując, cieszy się i raduje najdrobniejszym nawet przejawem życia i jego harmonji w naturze:

„Piękna, jak kobieta, i zmienna, jak kobieta, co dnia inaczej i co dnia ozdobniej przyodziana"...

Ach, to knieja właśnie!...

*

Ś. p. Stanisław Zaborowski nie chciał nigdy zostać popularnym. Taką już miał naturę. Ci, co Go najbliżej znali, nie dziwili się temu. Zmarły był człowiekiem na inną miarę.

Dr. Zaborowski nie zachwycał się żyjącą dokoła Niego, tłoczącą się zewsząd i wszędzie, ironją „szczęścia społecznego". Ale dla społeczeństwa pracował zawsze niezmordowanie — zadarmo!

Doktór medycyny, sławny ginekolog, operujący wprost artystycznie nożem, gdy „już wszystko przepadło", ratował setki istnień kobiecych, dziecięcych... Doktór Zaborowski — tworzył życie.

Wartość życia społecznego znał i cenił więcej, niż swoje własne... Widzimy Go, jako twórcę, dzięki Niemu wyłącznie na pierwszorzędnym poziomie postawionego, Zakładu św. Zofji w Warszawie. Wieleż zabiegów, a nawet i własnych pieniędzy, kosztował Go ten szpital, który postanowił sobie, w miarę możności i sił, postawić na skali europejskiej. Na to szły lata upartej, świadomej celu pracy.

Osiągnął to, do czego Go wołało posłannictwo społeczne, wrodzone niezwykle czułej duszy, a jak utrzymywali niektórzy... wygórowane ambicje.

Ale w tem ostatniem twierdzeniu tkwi nonsens. Nonsens bez usprawiedliwienia. Niema działania ambicji tam, gdzie jest poświęcenie. A doktór Stanisław Zaborowski, jako fachowiec-specjalista i społecznik, poświęcał wszystko z siebie w imię dobra społeczeństwa: wiedzę, niestrudzoną pracę, olbrzymi zmysł organizatorski w parze z energją przezwyciężania wszystkich przeciwności, jakie spotykał na drodze do swego celu i jakie Mu rzucali pod nogi ludzie.

*

A było tak, że ukończywszy niezwykle chlubnie wykształcenie zawodowe w Paryżu, osiadł w kraju dopiero w r. 1896. Osiadł — pomimo, że spotkały Go tam, w stolicy świata, najkorzystniejsze propozycje, jako młodego, niezwykle zdolnego lekarza. Zaczął pracować dla swoich w Warszawie i pracował w pocie czoła długo, lata całe, stwarzając wokół siebie coraz liczniejszą plejadę wdzięcznych z pośród wszystkich klas i stanów pacjentów.

Związany z Francją sentymentem dawnym, „staropolskim", zawdzięczając ogólnemu rozwojowi wiedzy i kultury tego kraju swoją własną pewność siebie i świadomość swej wartości fachowej — stał się na tej płaszczyźnie najwierniejszym zwolennikiem narodu winnic i stolicy stolic.

Przyszło dawno oczekiwane wyzwolenie kraju ojczystego, lecz zaraz potem momenty krytyczne. Misja francuska działała w Polsce — już nowej, odrodzonej—z całą intensywnością wobec zadania i posłannictwa. Odświeżyły się wówczas więzie, które łączyły ś. p. Doktora Zaborowskiego z Francją, z Paryżem...

Poświęcał On wówczas i potem przez długi szereg lat swą wiedzę i bezinteresowną nieraz pracę dla wielu członków kolonji francuskiej w Warszawie.

Myśl ludzka — niczem nie zajęta, prócz prawdy biegnącego obok niej życia — powinna zawsze dostrzedz wszystko, co ma miarę nieprzeciętności. To też najzupełniej zrozumiałem jest, że Francja odznaczyła D-ra Stanisława Zaborowskiego, za Jego wysoce humanitarną działalność społeczną — Legją Honorową.

Jakże niezrozumiałem wydać się musi to, że nie był za życia swego dekorowany żadnem odznaczeniem Państwa Polskiego! Wszakże w myśl najhumanitarniej i najhojniej zrozumianej rozrzutności własnych sił i wiedzy, służył s w o j e m u społeczeństwu tyle lat!...

Dr. Zaborowskiemu w Polsce stała się krzywda. Jeśli nawet nie w oczach naszych własnych, tak często zimno patrzących na poświęcenie ludzi o duszach najcenniejszych, którzy do grobu schodzą... zapomnieni, to w oczach tych, którzy z pośród obcego narodu umieli ocenić zasługi społeczne Zmarłego... w naszym własnym kraju.

Z całą świadomością wypominam niesprawiedliwość względem ś. p. Stanisława Zaborowskiego tych, którzy mogli i powinni byli „dać świadectwo prawdzie", a którzy byli w mocy to uczynić.

*

Ale wróćmy do kniei. On tam znajdował ukojenie, radość i szczęście. Radość i szczęście całkowite, którego odmówiło Mu życie. Tam, w sercu kniei polskiej, zetknęły się blisko i raz na zawsze zespoliły z sobą kryształowa dusza Zmarłego z cudami przyrody i jej wiecznemi tajemnicami.

I oto stamtąd wziął Zaborowski odwieczny szum drzew, jasność promieni słońca, wszystkie barwy najbogatszej z palet i wszystkie dźwięki najpiękniejszych instrumentów świata — odbił w swojem sercu i dał nam na piśmie, w druku...

Cześć prochom Zmarłego Piewcy Kniei Polskiej!

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.



Wyjazd na polowanie przez Jezioro Czarne. Pieski (Polesie) Franciszka hr. Pusłowskiego.

NOWELIZACJA USTAWY ŁOWIECKIEJ A UBEZPIECZENIE MYŚLIWYCH OD ODPOWIEDZIALNOŚCI CYWILNEJ

Zaprojektowane znowelizowanie obecnie obowiązującej ustawy łowieckiej wywołuje wśród szeregów myśliwskich wielkie zainteresowanie, wyrazem którego są liczne artykuły w prasie fachowej i codziennej. Wśród artykułów tych nie brak i głosów krytycznych, przyczem niektóre z nich, jako oparte na gruntownej znajomości spraw łowieckich, będą niewątpliwie wzięte pod uwagę przy ostatecznej redakcji ustawy, nad innemi zaś, wynikającemi z błędnych przesłanek, prawodawca będzie musiał przejść do porządku dziennego.

Do takich właśnie spraw, krytykowanych ostro przez wielu myśliwych (patrz „Łowiec", Lwów, Nr. 17—18 1938 r.), należy sprawa przymusowego ubezpieczenia myśliwych od odpowiedzialności cywilnej.

Zanim przejdziemy do zanalizowania stawianych zarzutów, uważam za właściwe wtajemniczyć kolegów myśliwych jak sprawa ta wygląda w świetle przepisów obecnie obowiązującego kodeksu zobowiązań (Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października 1933 roku), gdyż zbadanie tej sprawy pod względem prawnym ułatwi nam z jednej strony właściwą ocenę zagadnienia, z drugiej zaś strony uświadomi kolegów myśliwych o zakresie ich odpowiedzialności za wypadki spowodowane bronią palną.

Podstawę do wysuwania roszczeń z tytułu omawianych wypadków kodeks zobowiązań ujmuje w artykule 134, który głosi:

„Kto z winy swej wyrządził drugiemu szkodę, obowiązany jest do jej naprawienia".

W odniesieniu do naszego życia łowieckiego artykuł ten należy rozumieć w ten sposób, że każdy myśliwy, który z własnej winy postrzelił lub zabił osobę trzecią, obowiązany będzie do naprawienia szkód z tego powodu wynikłych.

Ponieważ nie jest rzeczą obojętną jakie elementy składają się na samą szkodę i jak daleko sięga zakres odpowiedzialności osób, które spowodowały wypadek, przeto pozwolę sobie przytoczyć dalsze artykuły kodeksu zobowiązań, które sprawę tę regulują.

Art. 157. § 1. Odszkodowanie obejmuje stratę jaką poszkodowany poniósł i korzyść, której mógł się spodziewać; gdyby mu szkody nie wyrządzono.

§ 3. W przypadkach przez ustawę przewidzianych można żądać, niezależnie od naprawienia szkody majątkowej, zadośćuczynienia za krzywdę moralną.

Art. 161. § 1. Kto odpowiedzialny jest za uszkodzenia ciała, lub wywołanie rozstroju zdrowia, ponosi wszelkie powstałe z tego powodu koszty, a w razie potrzeby obowiązany jest do wyłożenia zgóry sumy, niezbędnej na leczenie poszkodowanego.

§ 2. Gdyby poszkodowany utracił w całości lub w części zdolności do pracy zarobkowej, albo gdyby zwiększyły się jego potrzeby lub zmniejszyły widoki powodzenia w przyszłości, zobowiązany do odszkodowania powinien mu wypłacić rentę w wysokości, odpowiadającej wyrządzonej szkodzie.

Art. 162. § 1. W razie śmierci poszkodowanego wskutek uszkodzenia ciała lub wywołania rozstroju zdrowia, zobowiązany do odszkodowania winien zwrócić koszty leczenia i pogrzebu temu, kto je poniósł.



Do kniei... Fot. gen. Cz. Jarnuszkiewicz.

§ 2. Osobom, do których utrzymywania zmarły był obowiązany z mocy ustawy i które rzeczywiście utrzymywał, zobowiązany do odszkodowania winien wynagrodzić utracone korzyści przez wypłacenie renty, obliczonej stosownie do potrzeb poszkodowanych, do dochodów i prawdopodobnej długości życia zmarłego, a także do prawdopodobnego czasu trwania alimentacji.

§ 3. Nadto krewni, powinowaci, wychowańcy i inne osoby bliskie, którym zmarły dobrowolnie i stale dostarczał utrzymania, mogą żądać przyznania takiej renty, jeżeli z okoliczności, a zwłaszcza ze stosunku stanu majątkowego poszkodowanego i osoby zobowiązanej do odszkodowania, wynika, że odszkodowanie odpowiada względom słuszności.

Z kilku tych przytoczonych artykułów wynika zupełnie jasno, że lekkomyślnie lub nieopatrznie użyta broń myśliwska, będąca źródłem rozkoszy myśliwskich, może stać się również źródłem udręki, gdyż nałoży na sprawcę wypadku tak daleko idące zobowiązania i obciążenia, że wywiązanie się z nich w wielu wypadkach, nawet do końca życia, będzie niemożliwe.

Jeżeli sprawcą wypadku jest osoba zamożna, a poszkodowany należy do sfer, których zdolność zarobkowa jest nikła i stanowi jednostkę nieobarczoną rodziną, to sprawa jest dość prosta. Gorzej będzie, gdy poszkodowanym jest osoba dobrze usytuowana i obarczona rodziną. Zupełnie jednak tragicznie wyglądać będzie sytuacja, gdy sprawcą wypadku będzie osoba zupełnie materjalnie nieodpowiedzialna, a poszkodowanym osoba dobrze sytuowana, utrzymująca z własnej pracy liczną rodzinę.

Zdawałoby się, że jedynem wyjściem ze sprawiedliwych przepisów kodeksu zobowiązań byłoby udzielanie pozwoleń na broń jedynie osobom, które mogą się wykazać dostateczną gwarancją materjalną. Przeciwko tezie tej przemawia jednak zupełnie słuszna praktyka naszych władz administracyjnych, oparta niewątpliwie na przekonaniu, że łowiectwo polskie, będące składnikiem naszej gospodarki narodowej, musi być udostępnione szerokim warstwom społeczeństwa i nie może być przywilejem magnatów i kapitalistów. Zresztą uzależnianie pozwoleń na broń od stanu majątkowego danej osoby nie rozwiązałoby sprawy, gdyż stwierdzenie dobrej sytuacji majątkowej w chwili ubiegania się o pozwolenie może być więcej niż problematyczne w chwili wypadku.

Skoro więc praktyka naszych władz administracyjnych idzie zupełnie słusznie według wymagań czasu, to pozostawienie tej sprawy jej własnemu biegowi rozwiązania nie przyniesie, a wytworzy sytuację, w której zupełnie słuszne przepisy kodeksu zobowiązań pozostaną na papierze we wszystkich tych wypadkach, gdy sprawcą będzie osoba majątkowo nieodpowiedzialna. Państwo, jako naczelny organ opieki nad wszystkimi swymi obywatelami, do takiego stanu rzeczy dopuścić nie może i dlatego też w imię dobra publicznego musi szukać właściwego rozwiązania.

Z doniosłości tego zagadnienia musiała sobie zdawać sprawę Międzynarodowa Rada Łowiecka, skoro na odbytem w Warszawie w roku 1934 zjeździe sprawę tę szeroko omawiano i powzięto cały szereg uchwał, zalecających ich wprowadzenie w poszczególnych krajach, do Rady należących.

Jeżeli więc na skutek tych uchwał, w całym szeregu państw o wysokiej kulturze łowieckiej, wprowadzony został z dużem powodzeniem przymus ubezpieczenia myśliwych od odpowiedzialności cywilnej, to wydaje się rzeczą słuszną, aby Polska nie pozostała w tyle i sprawę odpowiedzialności myśliwych za wypadki spowodowane bronią palną uregulowała na drodze prawodawczej.

Takiego uregulowania sprawy domaga się zarówno dobrze zrozumiany interes samych myśliwych, jak i interes publiczny.

Kogo stać na używanie rozkoszy łowieckich i na posiadanie broni, która, niestety, bywa zbyt częstem narzędziem śmierci, lub ciężkiego okaleczenia kolegi myśliwego lub naganiacza, tego powinno stać i na ubezpieczenie, które w naszych warunkach jest najlepszą gwarancją wynagrodzenia poszkodowanego lub jego rodziny.

Nowa ustawa łowiecka musi brać pod uwagę nietylko ochronę zwierzyny, ale i o c h r o n ę c z ł o w i e k a.

*

Przechodząc kolejno do omówienia zarzutów, stawianych zasadzie przymusowego ubezpieczenia my-

śliwych od odpowiedzialności cywilnej, spotykamy się z twierdzeniem, że wprowadzenie tego przymusu będzie nowem obciążeniem dla łowiectwa polskiego, a jedyną korzyść odniosą Towarzystwa Ubezpieczeń, które przez to właśnie ubezpieczenie będą mogły łatać swoje dziury budżetowe. Że ubezpieczenie będzie kosztowało, z tem nikt polemizować nie zamierza, obciążenia te jednak nie będą tak dotkliwe, żeby zmusiły aż cały szereg myśliwych do zawieszenia broni na kołku, jak to w przytoczonym wyżej numerze „Łowca" p. Zbigniew Pawłowski prorokuje. Wystarczy, aby każdy z myśliwych powstrzymał się od oddania 50 strzałów, wypuszczanych na odległe dystanse i zaniechał bezmyślnego strzelania do wszystkiego, co nawija się pod lufę, a fundusze na ubezpieczenie się znajdą. Stanie się to niewątpliwie z wielką korzyścią dla masowo ranionej zwierzyny, która ginie bezużytecznie dla naszego łowiectwa, jak i dla otoczenia, dla którego takie właśnie strzały są najbardziej niebezpieczne. Jeżeli hasłem naszych czasów jest oszczędność, to i w naszem życiu łowieckiem oszczędność taka jest więcej, niż wskazana, zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzi godny poparcia interes publiczny.

Jeżeli chodzi o drugi zarzut, że składki z tytułu tego ubezpieczenia będą stanowiły murowaną pozycję w dochodach T-wa Ubezpieczeń, to, niestety, leżąca przed nami statystyka jednego z T-w Ubezpieczeń, propagującego oddawna ten dział ubezpieczeń na drodze dobrowolnej, wykazuje, że składki zebrane w latach 1937 i 1938 wynosiły około zł 8000, szkody zaś zgłoszone i wypłacone sięgają sumy około zł 25.000, co dowodzi z jednej strony, że lukratywność tego interesu przedstawia się wprost opłakanie, z drugiej zaś strony jest wyraźnem zaprzeczeniem gołosłownego twierdzenia, że ilość wypadków spowodowanych bronią palną jest nikła. Nie chcemy stąd wyciągać pochopnego wniosku, że dotychczasowe składki są zbyt niskie, a odwrotnie, jesteśmy nawet przekonani, że po wprowadzeniu przymusu, dającego wielkie obroty i wyrównanie, składki dotychczasowe będą musiały uledz znacznej redukcji, o co władze Związku niewątpliwie wystarać się potrafią.

Najpoważniejszym argumentem, którym przeciwnicy wprowadzenia przymusu ubezpieczeniowego się posługują, jest obawa, że przymus ten wpłynie na zwiększenie liczby wypadków i że na skutek tego łowiectwo polskie wypróbuje to nowe dobrodziejstwo na własnych łydkach. Ponieważ skutki strzałów miłych sąsiadów miałem sposobność już wypróbować na własnych łydkach, a ponadto byłem świadkiem szeregu ciężkich wypadków na polowaniu, sądzę, że nie będę odosobniony, lecz raczej poparty przez wszystkich dobrze myślących i obarczonych pewnemi obowiązkami myśliwych, jeżeli stwierdzę, że próbę taką, która niewiadomo jak się skończy, zawsze lepiej przejść, gdy sąsiad jest ubezpieczony.



W kotlinie. Fot. Inż. St. Steliński.

Pozatem należy dodać, że ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej nie uchyla odpowiedzialności karnej, z którą każda osoba niepanująca nad swojemi nerwami liczyć się będzie musiała.

Gdyby jednak pomimo to tendencja do zwiększenia wypadków istniała, czego w żadnym kraju, gdzie wprowadzono przymus ubezpieczenia, nie zaobserwowano, to w stosunku do zawodowych lub lekkomyślnych postrzelaczy stosowane niewątpliwie będzie odbieranie kart łowieckich.

Związek, jako naczelna organizacja łowiecka, dla której nie może być obojętna wysokość skalkulowanych składek ubezpieczeniowych, potrafi zwalczyć tego rodzaju tendencje wszelkiemi będącemi w jego rozporządzeniu środkami.

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI

OD REDAKCJI:

NINIEJSZEM ZAWIADAMIAMY SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW, ŻE OGŁOSZONE PRZEZ NAS WYDAWNICTWO PRACY P. STANISŁAWA HOPPEGO, p. t. **„POLSKI JĘZYK ŁOWIECKI"**, WŁĄCZONE W PRZEDPŁACIE DO CENY PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" (POWIĘKSZONEJ OD CENY ZASADNICZEJ TYLKO O ZŁ. 1,—, JAKO ZWROT KOSZTÓW WŁASNYCH WYMIENIONEGO WYDAWNICTWA) UKAŻE SIĘ OKOŁO 15 LUTEGO R. B., POCZEM ZOSTANIE ROZESŁANE POCZTĄ. OPÓŹNIENIE WYDANIA TEJ PRACY OD PROJEKTOWANEGO TERMINU POWSTAŁO WSKUTEK TEGO, ŻE PIERWOTNIE LICZONO SIĘ Z KSIĄŻKĄ NIEWIELE PONAD 100 STRONIC OBJĘTOŚCI, GDY TYMCZASEM OBEJMIE ONA OKOŁO 150 STR.

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

W PODRÓŻY.

Jak rzeka wezbrana, bezładnie, gorączkowo kłębią się myśli; lecą przez głowę, cisną się wszystkie naraz: wspomnienia, długo pieszczone w duszy nadzieje i piękniejsza niż wszystko — teraźniejszość. — We śnie to, czy na jawie — jadę do Afryki! Chwilami poprostu boję się przebudzić, by czar nie uleciał, jak marzenia, kiedy wniosą światło. — Nie — to nie sen — nie śpię. Wystarcza sięgnąć do kieszeni, by zobaczyć bilety na statek i paszport, w którym, na wszelki przypadek, zawizowane stoi wyraźnie: *„Good for the British East African Protectorate. Consular service of his Majesty... Warsaw. 24 November 191...“* — Pieczęcie i podpisy, jak należy.



„Burgmestr."

Dowiedzieliśmy się dokąd i poco jedziemy, konsul, gentleman angielski, udzielał nam wskazówek, a nawet dał listy do przyjaciół, urzędujących w Protektoracie.

Nie, to nie sen chyba, nie grozi mi przebudzenie. W wagonie, dla większej pewności, mam ze sobą co najważniejszy bagaż: broń, lornetkę, aparat fotograficzny, torbę z neseserem i małą żelazną, zamkniętą hermetycznie walizkę (od termitów), jakiej używać zwykli podróżnicy w dzikich okolicach Afryki. Na walizie moje nazwisko i wypisane wyraźnie: „Kilindini"— port, w którym mamy lądować. Część przyborów i zapasy, które zabieramy, a będzie ich niemało, nadejdą do Marsylji statkiem, na którym pojedziemy dalej.

Mój towarzysz L. zmuszony był zatrzymać się w Paryżu do następnego pociągu. W przedziale więc jestem z myślami swojemi sam na sam. Ale jak trudno zebrać je i utrzymać na wodzy! Chciałbym nacieszyć się chwilą, rozważyć i pomyśleć, czy naprawdę załatwione wszystko, czy nie zaniedbałem niczego. Wczoraj jeszcze tyle biegać musiałem w Paryżu...

*

Okolice, do których, zgodnie z planem otrzymanym z Nairobi, udać się ma nasza „safari", uchodzą w błogosławionej Afryce Wschodniej, nawet w słynnym wśród myśliwych świata całego Protektoracie Kenya, za wyjątkowe i szczególnie obfitujące w zwierza. — Obok czołowych, groźnych potentatów świata zwierzęcego: lwa, bawołu, słonia i nosorożca, spotkanie z któremi stanowi główny urok polowania na Czarnym Lądzie, zobaczyć tam mamy całą nieomal faunę, zamieszkującą Afrykę: lamparta, żyrafę, strusia, dwa rodzaje dzika, węża boa, hjenę, dzikiego psa, szakala i całą niezliczoną czworonożną i skrzydlatą rzeszę, rojącą się na ziemi, pod ziemią, w wodzie i w powietrzu. — Hipopotama tylko i krokodyla, polując na suchych, stepowych płaskowzgórzach i w górach, oglądać nie będziemy!

Jeżeli mowa o niezrównanej obfitości i rozmaitości zwierza w miejscowościach, do których zamierzamy dotrzeć, grzechem byłoby pominąć zwierzynę afrykańską par excellence, snującą się tam w przeróżnych rodzajach i odmianach literalnie tysiącami; mniej lub więcej bogaty ród antylop i gazelli, a także obce krwią, lecz nieodłączne towarzyszki tych ostatnich, barwne, ruchliwe zebry.

W niektórych rozległych prowincjach Afryki trzy te postacie świata zwierzęcego tak są liczne i spotykane tak często, że stanowią stały, charakterystyczny szczegół krajobrazu. — Na siedemdziesiąt odmian gazelli i antylop, znanych w zoologji, mieszka ich w Protektoracie czterdzieści trzy. Czterdzieści trzy rodzaje samych gazelli i antylop! — Od rosłego, jak największy buhaj domowy, masywnego „mpofh", zwanego, niewiadomo dlaczego, elandem t. j. łosiem, do karzełka w rodzie antylop dik-dik'a, nie większego, niż nasz szarak, i od niezgrabnego, pospolitego do znudzenia hartebeest'a, w języku czarnych „kongoni", co znaczy bydlę, rojącej się na stepach setkami, do rzadkiej, kryjącej się w niedostępnych gąszczach leśnych, tajemniczej „bongo", wyjątkowo tylko padającej od kuli białego.

Szczytem jednak pożądań myśliwego wybierającego się do Afryki i koroną przywożonych stamtąd trofeów będzie zawsze niespotykany w podobnej ilości, po za Protektoratem Kenya nigdzie, król zwierzostanów Czarnego Lądu, legendarny, klasyczny lew. — Niezbyt dawno jeszcze, Rainey, „pracujący dla kinematografu" gentleman amerykański, zabił tam jednego dnia 23 lwy(!). — Nieodrodny ten potomek barbarzyńców, którzy wymordowali tak gruntownie czerwonoskórych i bizona Północnej Ameryki, wytępił przy pomocy tresowanych w tym celu psów i złowił w pułapki 106 lwów

w przeciągu pół roku. Amerykański ten rekord jednak nie przypadł do smaku dbałym o bogactwo swych terytorjów władzom angielskim, które licencję p. Rainey odebrały i „polować" mu nadal w Protektoracie zabroniły.

Mimo rekordy podobne i mimo wyprawy myśliwskie, setkami nawiedzające Protektorat co roku, lwów jest tam dziś jeszcze dużo. Safari, która trofeum tego nie przynosi, uważana jest za chybioną.

Rozmyślając o przygodach, czekających nas w niedalekiej przyszłości, patrzę na leżące w siatce wagonu kuferki z bronią i zastanawiam się czy mój rynsztunek jest odpowiedni, czy uzbrojony jestem należycie. — Wielkość, żywa masa, siła i charakter zwierza, a przedewszystkiem warunki, w jakich spotyka go myśliwy, bywają w Afryce tak krańcowo rozmaite, tak do siebie niepodobne, że przy najskromniejszych wymaganiach i przy największej odwadze strzelca nie wystarcza jeden rodzaj, jeden typ broni. Niosący na kilometry, małokalibrowy sztucer typu wojskowego, niezastąpiony kiedy chodzi o dalekie strzały na otwartym stepie, byłby dziecinną zabawką, narażającą życie myśliwego, w spotkaniu oko w oko, niekiedy w gęstych haszczach, z prawdziwie grubym i groźnym zwierzem, jak lew, słoń albo bawół, które unieszkodliwić i unieruchomić na miejscu może li tylko, uderzająca jak potężnym młotem, duża, ciężka kula wielkiego kalibru *).

Szybciej niż pociąg, który mnie niesie, lecą myśli.— Raz, gnane wyobraźnią, biegną naprzód i, błąkając się gdzieś daleko, w krajach zalanych słońcem, obcych, odgadywać próbują czekające nas wrażenia, to znów uciekają wstecz i coraz powracają do kraju śniegów i zimy.

Hej, gdzie to już Warszawa, gdzie przejechane granice! Tam teraz zima, ciemno, słotno; tu za otwartem szeroko oknem wagonu, jak panorama, jak gobelin, z którego słońce nie wypiło wszystkich barw, roztacza się wiecznie jasny, słoneczny mimo zimy, letni prawie krajobraz Prowancji.

*) Jak na Afrykę, uzbrojony byłem średnio zaledwie. Towarzyszyły mi trzy rodzaje broni: doskonały, zrobiony dla mnie umyślnie, nabijany prochem cordite, podwójny ekspres kalibru ang. 375. — Kaliber ten, najmniejszy z używanych przez myśliwych egzotycznych, wybrałem po namyśle, ażeby módz posługiwać się nim w przyszłości na nasze dziki i jelenie. — Zabierane do Afryki zwykle kalibry prawdziwie duże, jak 460 lub 577, ciężkie są bardzo, na naszą zwierzynę zbyteczne i w kniejach naszych niebezpieczne. Wolałem więc poprzestać na kal. 375 i postąpiłem roztropnie. Zabiłem z niego nosorożca i bawołu, a potem, już w kraju, niejednego dzika.

Jako Nr. 2 mego rynsztunku, zabrałem Paradox kal. 12 od Hollandów z Londynu, nabijany również corditem i strzelający (jednakowo licho zresztą) zarówno śrutem jak kulą. Broń ta jednak, dzięki wielkości i wadze miotanych przez nią kul, skuteczną jest jakoby bardzo na bliską metę, w spotkaniu z najgrubszym nawet zwierzem.

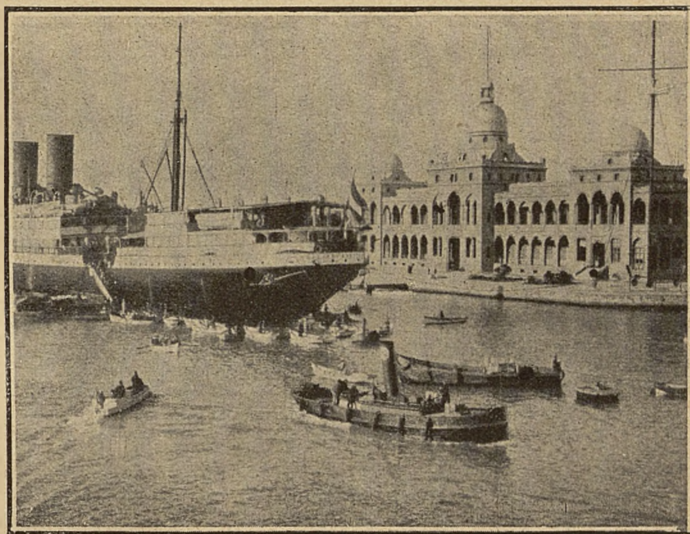
Na pierwszem miejscu wreszcie postawić powinienbym tutaj starego, wypróbowanego towarzysza — wyjątkowo celny, małokalibrowy (6,7 mm.) repetjer Mannlicher'a z lunetą, z którego strzelałem najwięcej, najdalej i któremu zawdzięczam, ze lwem na czele, 9/10 zwierzyny, zabitej przezemnie w Afryce.

Towarzysz mój L. uzbrojony był lepiej. Prócz Mannlicher'a 6,7 mm i gładkiej strzelby do śrutu, zabiera sprowadzony od Hollandów potężny kal. 460.

Słońce zaledwie wzeszło; w czystem, świeżem powietrzu aż po horyzont widać krajobraz, jak na dłoni: uprawne pola, szare płachty śpiącego winogradu, białe domki, wieże kościołów i na cmentarzach czarne cyprysy. — Wszystko mówi, że to już Południe — Riviera; kraj śmieje się do słońca.

Patrzę w okno w zamyśleniu, palę papierosa i — cieszę się, że żyję. — Pociąg, „Wielki Express" z Paryża na Lazurowe Wybrzeże, pędzi, jak oszalały; za oknem obrazy migają tylko i nikną ledwie dojrzane. Na świecie jasno i przestronnie — do przedziału falami płynie ranne, rozkoszne powietrze i samo tłoczy się do piersi. Pociąg dosłownie pożera przestrzeń, rwie, zatacza się, pomniejsze stacje mija pogardliwie, na większych przystaje ledwie i odetchnąwszy leci dalej. Dawno już minęliśmy Montelimar, Arles, Tarascon...

Tarascon!... Ej! kto jedzie do Afryki i polować chce na lwy, niech pamięta o nieśmiertelnym Tartarin'ie...



Z albumu z wyprawy Autora *)

Jak gdyby zawalić się miał cały dworzec, zahuczało, zgrzytnęły hamulce, zadzwoniły szyby; pociąg wpadł na stację i osadzony w miejscu, cały dygocący jeszcze, zadyszany, stanął.

— „Marsylja — wszyscy wysiadają".

Burgmestr, nasz parostatek, „Niemiec", jak mówi posługacz, w nocy wszedł do przystani.

MARSYLJA.

Marsylja jest jak próg dzielący dwa światy, jak brama, za którą otwarte szeroko, leżą słoneczne kraje Południa i tajemniczy, bajeczny Wschód. Algier i Tunis, to nieledwie jej przedmieścia, a dalej Egipt, Arabja, zaczarowane Indje, Chiny, Japonja. Tam już inne niebo, inne słońce — cieplejsze, jasne, a na co spojrzeć, wszystko przeczuwać każe te wrażenia, jakie podróż dać może tylko, po jakie jeździć trzeba daleko, do krajów, gdzie wstaje i gdzie na spoczynek odchodzi słońce. — Wielki, kupiecki port wszechświatowy; miasto stare, pełne tradycji, w którem szczegół każdy zdaje się mówić, że podróże zamorskie, dale-

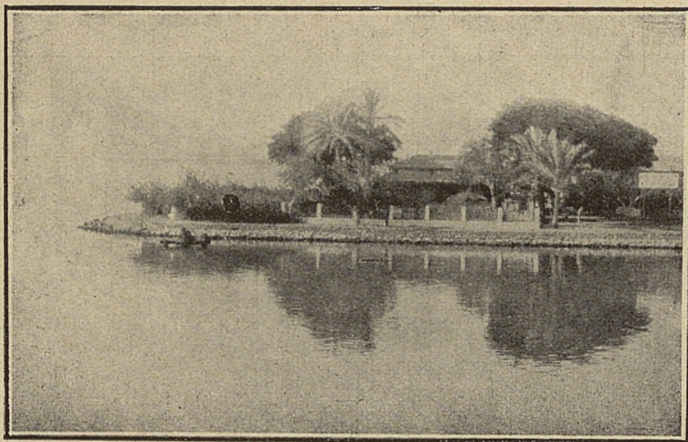
*) Fotografje, czerpane z albumu Autora, nie są tam, niestety, podpisane (Przyp. red.).

kie, chlebem są tam powszednim, zajęciem, z którego ludzie żyją.

Na każdym kroku, w kawiarniach, w porcie, na ulicy, do ucha wpadają gwary obce, niezrozumiałe; gdzie spojrzeć — egzotyczne stroje, nieznane ozdoby, i dużo twarzy czarnych, żółtych, miedzianych. — To już zadatek innych światów; ogniwo, wiążące Europę z resztą naszej kuli ziemskiej całej.

Z dworca jadę wprost na przystań, by odwieźć tam bagaż i upewnić się czy zakupy, które nadejść miały, są na statku w porządku.

W porcie ruch i gwar aż kipi; istna wieża Babel. W dokach, w ogromnych halach rozlega się świst lokomotyw, turkot ładownych wozów, zgrzyt okrętowych żórawi i łoskot rzucanych przez nie ciężarów. W zgiełku, głośniejsze niż wszystko, górują przekleństwa, potoki przekleństw we wszystkich językach, we wszystkich narzeczach świata.



Z albumu Autora.

W powietrzu, nad przystanią, mieszając się z nieuniknionym, właściwym wszystkim portom, zapachem węgla, gnijącego drzewa, smoły i schnących konopi, unosi się woń obca, subtelna, nieuchwytna, przywożona na statkach powracających z pod równika, z dalekich portów Południa, z kolonij, gdzie pod gorącem niebem zbierają gwoździk, cynamon i wonne drzewo sandału. Woń ta obecna wszędzie drażni i upaja.

W przystani statków, jak śledzi; małe, portowe łódki celników przeciskają się ledwie. — Bo jakich tam niema! Pasażerskie, piętrowe, olbrzymie Lloyd'y i Mesażerje, pakowne transportowce, wielkie, ciężkie parowce handlowe, płaskie holowniki, używane do wyprowadzania większych statków z portu, lotne motorówki policyjne i śmigłe, wysokie żaglowce, prowadzące handel z Lewantem.

Opodal na uboczu, jak gdyby stroniąc od zetknięcia z brudną, zasmoloną gawiedzią handlarską, gniotącą się w przystani, jak drapieżny ptak morski, kiedy złoży skrzydła i upatruje łupu, stoi na kotwicy smukłe awizo wojenne. Jasno-szary, bojowy kolor kadłuba i masztowania wskazują, że statek jest w pełnym rynsztunku i na stopie wojny. — Wysoko, na maszcie powiewa trójbarwna flaga i dumnie ogłasza światu, że statek jest na usługach Francji. Odchodzi na Daleki Wschód, gdzie bronić będzie spraw trzeciej Rzeczypospolitej na wodach chińskich.

Jeszcze dalej, już u wyjścia z portu, pod strażą policyjnej łodzi portowej, odosobniony stoi parowiec handlowy, na którym wywieszono złowrogą, żółtą chorągiew kwarantanny. Przychodzi ze wschodu, z portów, w których panuje wiecznie dżuma albo cholera. Przez całych dni dziesięć nie wolno ani wysiadać z niego, ani odbierać ładunku. Nawet poczta, jeżeli miał jaką, została okadzona i odkażona.

Od statków, nagromadzonych w przystani, idzie na patrzącego poczucie przestrzeni i dalekich lądów.

Burgmestr stanął u samych doków, skąd zabiera ładunek. Przywiązany do bulwaru grubemi linami, zgnieciony, zasłonięty, przywarł bowiem do brzegu i pochłania ładunek, który, kręcąc się, pochylając i skrzypiąc przeraźliwie, pogrąża w jego wnętrzu parowy żóraw. Nad kamienną rampą wystaje część tylko czarnej ściany, rząd małych, okrągłych okien, pokłady, przepasany czerwono-białym pierścieniem komin i maszty. — Oparci o barjery, stoją na pomostach i gapią się podróżni, nasi jutrzejsi towarzysze.

Widziany zbliska parostatek robi wrażenie dużego i wzbudza zaufanie. Maszyny śpią jeszcze, komin nie dymi; pracuje tylko żóraw. Ze stosów, nagromadzonych na brzegu, zabiera skrzynie, wory, beczki, rogoże, obraca się i przez otwór w pomoście spuszcza je do składów, na dno statku. Burgmestr pochłania wszystko i aż podziw bierze, patrząc, ile pomieścić ma jeszcze w swym potężnym tułowiu.

Na kładkach, przerzuconych z brzegu przystani, i na pokładach wre już życie. Pod nadzorem oficera, sztywnego, wyprostowanego, jak na mustrze, uwijają się majtkowie, tragarze i palacze; ruch i gwar, jak na jarmarku. — Wśród ogłuszającego hałasu, raz po raz, rozlega się rozkazujący, donośny głos komendy, albo świstawka i, głośniejsze niż sygnały i niż rozkazy, przekleństwa, rzucane po francusku, po niemiecku, po angielsku i w niezrozumiałem dla profana międzynarodowem esperanto.

Obejrzałem kabiny, w których mieszkać będziemy przez dni osiemnaście i, jak dyktują to elementarne zasady podróży morskiej, postarałem się zaskarbić względy starszego steward'a, po kapitanie najważniejszej persony na statku. Potem z pewnym niepokojem w duszy poszedłem do składów przekonać się czy rzeczy nasze nadeszły.

Odetchnąłem: jest wszystko. Skrzynki i paki zaopatrzone są w inicjały, numery i nazwę portu, a nawet, jak tego żądałem, na każdej wypisany jest krótki inwentarz zawartości. Ułatwia to szybkie znalezienie potrzebnych przedmiotów i formalności celne na komorach.

Szczególnie starannie zapakowane są zakupy nadesłane z Londynu. Przyśrubowane, a nie przybijane gwoździami, wieka skrzynek zaopatrzone są w zawiasy i skoble z małemi kłódkami. Nie potrzeba rujnować ich przy otwieraniu i łatwo następnie zamykać. Na każdej skrzynce nalepiona karta, na której podana zawartość i waga. Rutynę i doświadczenie mają tam ogromne.

Kabina ciasna, jak duża szafa, lecz wyszukanie czysta i, co najważniejsze, leży po stronie cienia. Pamiętać o tem należy zawsze, bo na Morzu Czerwonem mieszkanie od strony słońca torturą jest wskutek gorąca. Pozatem kojce nasze urządzone są, mimo ciasnoty, dość wygodnie; w miarę możności, a raczej w miarę przestrzeni, uwzględnić w nich starano się wszystko.

Ponieważ statek odchodzi wieczorem dopiero, o piątej, wracam do miasta, bo w porcie do roboty nie mam nic.

Aż dotąd skrycie dręczył mnie niepokój, czy, jak to bywa, nie zajdzie w ostatniej chwili coś takiego, co pokrzyżować mogłoby nasze plany: depesza jakaś, choroba, zawód ze strony przedsiębiorcy w Afryce, słowem coś, co przeszkodziłoby podróży. Teraz dopiero, kiedy do odjazdu pozostały już krótkie godziny tylko, kiedy wszystko, co zależało odemnie, załatwione i układa się pomyślnie, uczułem się wolnym, jak ptak, zadowolonym prawdziwie. Jestem jak uczeń, który po egzaminie wybiera się na wakacje. — Gdzieś głęboko w duszy doznaję nawet uczucia podobnego do rozczarowania; nie wyobrażałem sobie, że „podróż do Afryki", to rzecz tak łatwa. Kilka listów i depesz, parę przekazów, narada w „Warszawskiej Spółce Myśliwskiej" i marzenia ziszczone — wyprawa gotowa; myślałem, że więcej będzie kłopotów.

Zamknąwszy rzeczy w kabinie i pożegnawszy się „czule" ze steward'em, szukać poszedłem składu ogni sztucznych i składanego fotela do sjesty na pokładzie. Rac kupiłem tuzin cały sygnałowych, t. zw. „morskich", wylatujących, jak zapewniał mnie sprzedający, na pięćset metrów w górę. Ani domyślałem się wówczas, jakie oddadzą nam przysługi pierwszego zaraz wieczora pobytu w puszczy. Race, fotel i parę nowości do czytania odesłać poleciłem wprost na statek, a sam tymczasem wybrałem się zwiedzać Marsylję. Należało przecież zobaczyć słynną Cannebiere, o której Gaskończycy mówią, że piękniejszą jest, niż bulwary paryskie, i skosztować niemniej sławnej, w pojęciu miejscowem, *„bouillabesse'y"*, n a j l e p s z e j z u p y w świecie. — O zupie swej i o ulicy mieszkaniec Marsylji odzywa się z przeświadczeniem wyższości.

Po śniadaniu zasiadłem przed kawiarnią i, rozkoszując się oczekiwaniem, zapatrzony w różnobarwny tłum snujących się przechodniów, czekałem godziny przyjazdu mojego towarzysza.

Z Burgmestra rozlegał się pierwszy sygnał syreny, kiedy wchodziliśmy do portu; statek był gotów do drogi. Otwory w pokładzie zamknięte już, okrętowy żóraw ściągnięty, wyprostowany, sterczy obok masztu, ruch na bulwarze i na kładkach zwiększył się jeszcze. Zadyszani posługacze śpieszą się, krzyczą, potrącają; od strony miasta szeregiem nadjeżdżają dorożki i samochody, wiozące podróżnych i bagaże — stosy bagaży. Nienasycony Burgmestr połyka wszystko.

Statek idzie z Hamburga, lecz większość podróżnych, jadących do Afryki, woli uniknąć długiej, nudnej podróży morzem i wsiada dopiero w Marsylji lub Neapolu, dokąd dojechać można śpieszniej koleją.

Z powodu trudności i szykan, z których słyną komory włoskie, podróżni, a zwłaszcza myśliwi, wiozący broń i amunicję, wybierają zazwyczaj francuski port w Marsylji, gdzie zachowanie się celników więcej jest kulturalne.

Drugi sygnał; obcy za chwilę opuścić muszą statek; gdzie spojrzeć, sceny pożegnania, dużo chustek u oczów. Przeważnie jednak podróżni żegnają się spokojnie, wesoło nawet, słychać śmiech i dowcipy.

Chwila odjazdu nadchodzi, na statku rozlegają się ostatnie słowa komendy i rozdzierający ryk syreny; w tłumie ktoś łka spazmatycznie i zanosi się od płaczu.

Oficerowi podano z brzegu papiery jakieś, nadjechał jeszcze spóźniony podróżny i pędem wbiegł na pomost.

Trzeci sygnał; ściągnięto ostatnią kładkę, łączącą nas z ziemią i odwiązywano liny; na przystani powiały chustki i kapelusze.

Mały, czarny holownik zaprzągł się, jak żuk do martwej myszy, gwizdnął przeraźliwie i sapiąc z wysiłku pociągnął, aż zakipiała woda, potem zionął dymem na przystań i — ruszył. — Na Burgmestrze maszyny pracować zaczną później dopiero, kiedy wydobędziemy się z tłoku.



Z albumu Autora.

Na holowniku nie milkła świstawka, kłębami buchał z niego dym; posłuszny małemu naszemu przewodnikowi nasz statek płynął.

Brzydki mieliśmy początek podróży i złą pogodę na wstępie. Niespokojne morze burzyło się i, jak u nas w marcu, padał chwilami deszcz i śnieg. Nad wodą w porcie i nad miastem leżała ciężka, brudna mgła. W oparach, między kłębami dymu, majacząc, jak szare widziadła, to pojawiały się, to zacierały znowu wieże w mieście, kamienne, masywne budowle doków, las masztów, kominy i czarne kadłuby parowców, o które ocieramy się prawie, wychodząc z portu. — Odczytuję wypisane nad sterem imiona statków: „Sydney", „Orinoko", „Livingstone", „Colombo", „Hudson". W wyobraźni nazwy te budzą pojęcia krajów odległych, innego słońca, innego nieba; na myśl przychodzą dawno zapomniane opisy podróży i oprawne barwnie książki, jakie dostają dzieci na kolendę.

Między statkami, muskając piersiami spienione fale, kręciły się zwinnie białe mewy.

Wyprowadziwszy nas z portu, holownik zatrzymał się, zabrał pilota i świsnąwszy zawrócił.

Byliśmy na pełnem morzu, maszyny pracowały już. Burgmestr ryknął raz jeszcze na pożegnanie i ruszył o własnej sile. — Niebo przed nami przecierało się, a na zachodzie, daleko nad Afryką, na dobrą wróżbę, zaświeciło słońce. Płynęliśmy ku niemu, a za nami, we mgle i w deszczu, zacierały się brzegi Europy.

(D. c. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI.



Dawny pałacyk w Wiałej.

WIAŁA

(Szkic monograficzny).

1. Wstęp.

Nawet najbardziej zwięzłe opisy monograficzne poszczególnych łowisk polskich mają dla naszej kultury łowieckiej duże znaczenie. Znaczenie to nie jest jednak dotąd należycie oceniane. Istotnie — wertując roczniki czasopism łowieckich i czyniąc przegląd coroczny naszego, jakże skromnego, dorobku literackiego w postaci książek, książeczek, broszur i odbitek, rzadko spotkamy się z utworem zawierającym monografję łowiska, którego rozwojowi i rozkwitowi właściciel, a nieraz kilka pokoleń właścicieli poświęciło niemało trudów, wysiłków i kosztów.

Znaczenie i wartość monografji nie powinny podlegać dyskusji. Opis monograficzny, a więc — możliwie ścisły i wyczerpujący (choć niekoniecznie rozwlekły) konkretnego łowiska, jest dla czytelnika myśliwego bogatą lekturą dydaktyczną. Poucza on, co i jak można zdziałać, by osiągnąć określone rezultaty zabiegów ochronno-hodowlanych; ostrzega przed błędami pierwszych prób i doświadczeń; stanowi wreszcie pierwszorzędny materjał dla dziejów polskiego łowiectwa.

Wypowiedziałem wielkie wyrazy: „Dzieje łowiectwa polskiego". Mimowoli nasuwa się pytanie: — czy i kiedy doczekamy się monumentalnego dzieła, poświęconego historji naszego łowiectwa — od jego zarania, od epoki, skąd zaledwie wyłuskać coś potrafi benedyktyński trud szperacza, aż po czasy nowe i najnowsze?... Sądzę, że nie będę zbytnim pesymistą, jeżeli wyrażę wątpliwość, czy moje pokolenie, tj. pokolenie ludzi mających w żywej jeszcze pamięci okres poprzedzający Wielką Wojnę, doczeka ukazania się takiego dzieła. Choćby jednak nie doczekało, mniemam, że obowiązkiem ludzi każdego pokolenia jest dorzucić kilka cegiełek pod budowę tego dzieła...

Elementami tak czy inaczej pojętej definicji „łowiectwa" są niezaprzeczenie: — zwierzyna, myśliwi, łowy... A gdzie te trzy elementy ogniskują się najsilniej i najplastyczniej, tworząc wierny obraz łowiectwa danego okresu? Niechybnie w dziejach łowiska, w którego rozwój myśliwy — a nieraz, jak się rzekło, całe pokolenia myśliwych — wkładają umiłowanie i pracę. Nie ulega więc wątpliwości, że im więcej będziemy mieli możliwie ścisłych monografij łowisk w danym okresie, tem bogatszym materjałem będzie dysponował przyszły dziejopis tego okresu.

*

Niezaprzeczenie perłą łowisk ziem północno-wschodnich, a jednym z najciekawszych kompleksów

łowieckich w Polsce, są dobra leśne Wiała-Pierszaje, położone w pow. wołożyńskim wojew. nowogródzkiego, własność Benedykta Jana hr. Tyszkiewicza. Wiała — stanowi piękne połączenie dużego, bogatego w drzewostany, miejscami mającego urok puszczy pierwotnej łowiska z ogromem pracy pionierskiej zamiłowanego myśliwego-hodowcy. Słusznie też ś. p. Bolesław Świętorzecki na łamach wileńskich „Trąbek myśliwskich" nazwał Wiałę — oazą łowiectwa północno-wschodniego... A jednak, jeżeli nie liczyć luźnych fotografij i króciutkich sprawozdań kronikarskich — o „oazie" tej głucho dotąd w literaturze łowieckiej. Niniejszy szkic monograficzny ma być wypełnieniem tej luki.

2. *Krótka historja Wiałej* *).

W r. 1840 Wiała była małą osadą leśną, położoną w uroczej miejscowości wśród lasów i łąk, nad brzegiem krętej rzeki Isłoczy — o wartkich wodach, płynących w wiecznym cieniu drzew nadbrzeżnych i zwieszających się nad nią konarów i gałęzi, dzikim chmielem splecionych. Mieszkał tam stary gajowy i znakomity tropiciel, którego obchód stanowił małą cząstkę olbrzymiego „klucza" Wołożyńskiego (40.000 ha), własności hr. Tyszkiewiczów. Często zjeżdżali się tam myśliwi odwiedzający tę część puszczy, obfitującej w grubą zwierzynę.

Po obu brzegach Isłoczy trzymały się w dużej ilości łosie i dziki. Niedźwiedzie czyniły spustoszenia w pasiekach wsi okolicznych, świeżo powstających, lub zrywały barcie, zawieszone na grubych drzewach nad łąkami lub wrzosowiskami przez gajowych lub osadników puszczańskich, zajętych wypalaniem węgli. Na Isłoczy, nie znającej jeszcze niepokoju przy spławie drzewa— hukania lub śpiewu „płytników" **), mieszkały gęsto bobry. Wilki, plądrujące latem stadami po puszczy, wychylały się jesienią i zimą na pola. Ryś był stałym mieszkańcem niezbadanych jeszcze wtedy ostępów, niedostępnych dzięki zwałom powstałym przez setki lat, jako skutki burz i leśnych kataklizmów.

Na przebywającą dookoła Wiałej zwierzynę polowano wówczas wśród trudów ciężkich podchodów, zasadzek lub obław, albo z ogarami starannie dobranemi pod względem zawziętości i pięknych głosów gonu.

Niedaleko gajówki na wielkim mszarze były rozległe tokowiska głuszców, dokąd jednak rzadko się wybierano z ówczesnej rezydencji tyszkiewiczowskiej — Wołożyna. Zjeżdżano tam natomiast jesienią na łosie, których mięso stanowiło stałe pożywienie, podawane na stół pański, oraz na dziki, dostarczające szynek dla służby i czeladzi.

Skutkiem tych bogactw przyrodzonych zaczęto z biegiem lat rozbudowywać Wiałę, zwłaszcza gdy jeden z młodych dziedziców upodobał sobie to miejsce i kazał tam wybudować parterowy dom myśliwski. Był nim Benedykt, starszy syn Michała, Tyszkiewicz, właściciel dóbr na Wileńszczyźnie i Żmudzi z główną rezydencją w Czerwonym Dworze, historycznie Königsburgiem zwanym *). Ten to Benedykt Tyszkiewicz był w latach 1850—55 właściwym założycielem Wiałej, jako rezydencji par excellence myśliwskiej. Co roku odwiedzał Pan Benedykt Wiałę, przyjeżdżając etapami z odległego Czerwonego Dworu wielką czterokonną „berliną", w asyście licznych wehikułów, wiozących kuchnię, służbę oraz psiarnię. W Wiałej spędzano czas na łowach, strzelając łosie i dziki dla mięsa, niedźwiedzie — dla przyjemności łowieckiej (ostatni niedźwiedź padł w Wiałej w r. 1887).



Benedykt-Jan Hr. Tyszkiewicz
(w/g portretu Czedekowskiego).

Pewnego razu, gdy p. Benedykt powracał z bratem Janem, ordynatem birżańskim, z obławy — załamał się most na Isłoczy pod czwórką koni, przyczem ordynat zginął w tym wypadku. Miało to miejsce 20 sierpnia 1862 r., a do dnia dzisiejszego przetrwał w miejscu tragicznego wypadku pomnik z odpowiednim napisem.

Po powstaniu 1863 r. zabrakło zwierzyny w Wiałej. Wybito ją doszczętnie. Raporty łowieckie z r. 1870 nie wspominają o łosiach i dzikach. Nawet głuszce wyginęły.

Synowi założyciela Wiałej podobało się ustronie puszczańskie. Dobudować kazał piętro do domu myśliwskiego oraz postawił kilka budynków gospodarczych. Wiała rosła z latami: stanęło parę budynków murowanych, które po pożarze starego domu myśliw-

---

*) Niektóre ustępy tej części artykułu są przytoczone prawie dosłownie z własnoręcznych notatek Benedykta Jana hr. Tyszkiewicza (przyp. autora).

**) „Płytnik" — flisak; od białoruskiego wyrazu „płyt" — tratwa (przyp. autora).

*) Obecnie na Litwie. Istnieje w historji literatury hipoteza, że ruiny zamku koło Czerwonego Dworu były prototypem zamku z „Pana Tadeusza" (przyp. aut.).

skiego stały się zaczątkiem nowej Wiałej—murowanej. W roku 1898 syn założyciela Wiałej, zniechęcony warunkami politycznemi w kraju, wyrzeka się swych majątków, przekazując je synom. Właścicielem Czerwonego Dworu i Wiałej zostaje jego starszy syn, a wnuk założyciela rezydencji myśliwskiej, Benedykt Jan, wychowany w Krakowie, zamiłowany od dzieciństwa myśliwy i rolnik — obecny właściciel dóbr Wiała—Pierszaje.



Zwierzyniec w Wiałej (Rykowisko 1936 r.).

3. *Wiała przed wojną. Dawny zwierzyniec.*

Reorganizacja dóbr rozległych, administracja roln i leśna, gruntowny remont Czerwonego Dworu — wszystko to nie pozwala narazie nowemu właścicielowi zająć się łowiectwem. Dopiero w r. 1904 powstają 4 rewiry łowieckie o obszarze 2.000 ha w Czerwonym Dworze, a w Wiałej odbywają się sporadycznie polowania na łosie i dziki. W Czerwonym Dworze tworzą się linje myśliwskie ze stałemi stanowiskami w lasach i w parowach leśnych, wzdłuż Niemna i Niewiaży. Powstaje bażantarnia, psy gończe ulegają likwidacji: — rozpoczyna się racjonalna gospodarka łowiecka, oparta na karmieniu zwierzyny i tępieniu szkodników.

Równolegle z gospodarką łowiecką, powiedziałbym, zachodnio-europejską, prowadzoną w Czerwonym Dworze, powstaje w Wiałej w r. 1902, na przestrzeni 400 z górą hektarów — pierwszy na kresach północno-wschodnich zwierzyniec. Ogólny koszt ogrodzenia tego zwierzyńca (nie wliczając w to wartości własnego materjału drzewnego) wyniósł około 1000 rubli (ca 5000 zł. na naszą walutę). Do zwierzyńca wpuszczono w pierwszym roku 8 danieli (2 byki i 6 łań), a w roku następnym — 16 danieli oraz 1 jelenia-byka. Prócz wpuszczonej zwierzyny było na obszarze zwierzyńca trochę sarn miejscowych, a ponadto, przez specjalnie urządzoną w ogrodzeniu „skakawkę", dostały się do zwierzyńca 2 łosie: byk i klempa. W r. 1907 sprowadzono do zwierzyńca 4 roczne niedźwiadki, natomiast wyłapano i przetransportowano do Czerwonego Dworu 5 młodych danieli. W międzyczasie byk-jeleń, nie posiadający towarzyszki, stał się postrachem całej okolicy i tem samem — wyśmienitym stróżem zwierzyńca. Z uwagi na nieszczęśliwy wypadek z kobietą, którą niedaleko ogrodzenia śmiertelnie przebił rogami, odstrzelono go w r. 1907. W parę lat później (w r. 1910) odstrzelono również niedźwiedzia.

Niestety, zbyt późno się przekonano, że wybudowane dużym kosztem ogrodzenie okazało się niepraktyczne, gdyż grasujące w obfitości dookoła zwierzyńca wilki umiały wykorzystać „skakawki", względnie urządzały podkopy i skutkiem tego zbierały krwawą daninę z pośród mieszkańców zwierzyńca. To też zwierzostan powiększał się stosunkowo bardzo wolno. Wprawdzie sarn było dużo (wyłącznie miejscowych, nieimportowanych, dających sobie widocznie radę z „plagą wilczą"), natomiast ilość danieli nie przekroczyła do r. 1915 sześćdziesięciu sztuk. Do ostatka przebywały w zwierzyńcu 4 łosie.

Ogółem ubito w zwierzyńcu w latach 1902 — 1915: 2 łosie, 1 jelenia, 15 danieli, 8 kozłów, 4 wilki.

W końcu lata 1915 r. cofająca się armja rosyjska rozpoczęła w okolicy Wiałej kopanie rowów strzeleckich. Jedna linja okopów zagrażała północnej stronie zwierzyńca, przyczem coraz częściej maruderzy uzbrojeni w karabiny zakradali się tam na „polowanie", ubijając w ten sposób kilka sztuk danieli. W tym stanie rzeczy właściciel Wiałej odstrzelił na wyjezdnem dn. 26 sierpnia łosia-szóstaka — ostatniego łosia ubitego w owych okolicach...

Po wyjeździe właściciela ogrodzenie częściowo zgniło, częściowo zostało rozkradzione przez miejscowych chłopów (zwłaszcza słupy dębowe). Zwierzyniec przedwojenny przestał istnieć.



Wiała. Fragment zwierzyńca.

4. *Dzisiejsza Wiała.*

W odrodzonej Polsce Benedyktowi Janowi hr. Tyszkiewiczowi pozostał w granicach Państwa jedynie „klucz" Pierszajski z Wiałą, jako rezydencją. W chwili obecnej łowisko wialskie (obszar opolowywany) obejmuje około 2000 hektarów. Rezydencja w Wiałej, acz niespalona, mocno ucierpiała od zawieruchy wojennej, zaś pierwsze lata powojenne bynajmniej nie zachęcały do prac organizacyjnych i gruntownych remontów. Pamiętajmy, że Wiała leży tylko o 22 kilometry od granicy sowieckiej, w rejonach, gdzie w latach 1921—1924 hulały bandy dywersyjne. To też

dopiero z chwilą nastania względnego spokoju na pograniczu (co, jak pamiętamy, nastąpiło po objęciu ochrony granic przez K. O. P.) rozpoczyna właściciel szereg „inwestycyj" łowieckich w Wiałej.

Pracę trzeba było zacząć od podstaw, bo wojna i zdziczenie powojenne wyniszczyły zwierzynę prawie doszczętnie. Stan opłakany zwierzostanów zilustruje najlepiej fakt, że gdy pewnego razu właściciel Wiałej zażądał do stołu zająca, pomimo usilnych starań straży leśnej, nie można go było dostarczyć. Z łosi, których było około setki w puszczy wołożyńsko-pierszajskiej, nie pozostało ani jednego. Dziki wyginęły lub wywędrowały. Natomiast w sposób wręcz zastraszający rozmnożyły się wilki.

Od r. 1926 rozpoczynają się wysiłki nad powiększeniem zwierzostanu w dobrach Wiała-Pierszaje oraz kiełkuje myśl odbudowania zniszczonego w r. 1915 zwierzyńca. Zakładane są półka, paśniki, lizawki dla sarn... W celu należytego zorganizowania łowiska, jako całości, zostają wydzierżawione tereny przyległych wsi. Zimą dokarmia się dziki oraz intensywnie przetrzebia wilki. Straż leśna przy pomocy żelaz i polowania z puhaczem tępi ptactwo drapieżne.

W międzyczasie wre praca nad ogrodzeniem terenu, przeznaczonego na nowy zwierzyniec. Obszar tego terenu pozostał ten sam, co przed wojną (400 ha), natomiast granice jego uległy pewnej zmianie. Obszar ten stanowi miejsce jakby wymarzone dla przeznaczonego celu. Malownicza rzeczka Lucynka, przepływająca środkiem zwierzyńca; łączki o dobrej i smacznej trawie wzdłuż jej brzegów; różnorodne, przeważnie stare drzewostany, gęsto podszyte świerczyną i leszczyną; pewien obszar halizn i młodniaków; wartka rzeka Isłocz, stanowiąca południową granicę terenu; ocienione jeziorka leśne i stawy — oto w kilku słowach obraz terenu wybranego pod zwierzyniec.



Dzisiejszy pałacyk w Wiałej.

Nadchodzi wreszcie pamiętny dla dziejów Wiałej dzień 7 września 1928 r. W dniu tym zakończono ostatnie przęsło ogrodzenia: idea odbudowanego zwierzyńca stała się ciałem! Koszt ogrodzenia nowego zwierzyńca (robocizna i żelazo, nie licząc wartości własnego materjału drzewnego) wyniósł pokaźną kwotę 13 i pół tysięcy złotych, a więc bezmała 3 razy tyle, co przy tworzeniu zwierzyńca przedwojennego. Przy budowie ogrodzenia wykorzystano nabyte doświadczenie, unikając dawnych błędów. Ogrodzenie składa się ze słupów dębowych, połączonych dwoma legarami; do legarów przybite są żerdzie „na sztorc" na wysokość 2 metrów i przytem w ten sposób, że ostrokół żerdzi dochodzi szczelnie do ziemi, zaś dla zabezpieczenia przed podkopami wilków dodano nadto kilka rzędów drutu kolczastego, zebranego ze wszystkich okopów wojennych w okolicy: dwa rzędy więc bronią przy ziemi dostępu wilkom, dwa inne wzmacniają sam ostrokół, rząd u góry — utrudnia przełażenie ostrokołu przez nieproszonych gości.



Zwierzyniec w Wiałej. (Rykowisko 1936 r.).

Do tak ogrodzonego zwierzyńca wpuszczono jelenia ze Skotnik nad Pilicą (hr. Plater-Zyberka) oraz daniele z Węgier. Opiekę nad zwierzyńcem powierzono dawnemu bażantarnikowi czerwonodworskiemu, Antoniemu Wuszkanowi.

W chwili obecnej (rok 1938/39) w zwierzyńcu przebywa 35 jeleni i 50 danieli. Poprzednio ilość jeleni była większa, lecz stało się, że w roku 1936—37 właściciel Wiałej dokonał niemal bezprzykładnego w dziejach hodowli zwierzyny czynu: owiany śmiałą i piękną myślą rozmożenia jeleni n a d z i k o w okolicznych rewirach otwartych (własnych i sąsiedzkich), kazał wypuścić ze zwierzyńca 36 sztuk jeleni. Czyn ten pozwoliłem sobie nazwać bezprzykładnym, albowiem wiemy dobrze, że naogół myśliwi-hodowcy odznaczają się pewną, zresztą psychologicznie zupełnie zrozumiałą, a objektywnie najczęściej słuszną, „zazdrością" o swój zwierzostan. Czyn więc hr. Benedykta Jana Tyszkiewicza jest i nawskroś pański (w najlepszem słowa tego znaczeniu) i wysoce ideowy. Oby tylko dalsi i najdalsi sąsiedzi właściciela Wiałej ocenili ideowość tego czynu i potrafili „uszanować" te wypuszczone na wolność egzemplarze szlachetnego zwierza, mogące być zaczątkiem odrodzenia jeleni w puszczach kresowych oraz — bo taką była idea hr. Tyszkiewicza — mające zastąpić przedwojenne łosie, które narazie nie mają widoków szerszej rozmnoży w rejonie Wiałej i jej okolicach.

Losy tych wypuszczonych jeleni trudno jest jeszcze dzisiaj przesądzać. Narazie wiadomo tylko, że kilkunaście sztuk z tej partji przebywa w pobliżu Wiałej; z nich 7 byków ryczało ostatniej jesieni (1938). W trosce o dalsze „zaludnienie" zwierzyńca rzadkiemi i ciekawemi okazami właściciel powziął ostatnio myśl rozmnożenia bobrów, których ongiś było w puszczy woło-

żyńskiej poddostatkiem. W tym celu urządzono już w zwierzyńcu przy sztucznym stawie „bobrownię", ogrodzoną siatką drucianą, głęboko wkopaną w ziemię, oraz uzyskano od władz zezwolenie na złapanie na Niemnie dwu par bobrów.

Tyle o zwierzyńcu. W lasach wialskich otaczających zwierzyniec hodowla zwierzyny „na dziko" też zrobiła olbrzymie postępy w okresie opisywanego dziesięciolecia. O rezultatach zabiegów hodowlano-ochronnych na tych terenach o t w a r t y c h niech świadczą dwie niżej podane tablice.

I. *Polowania zbiorowe w lasach Wiała-Pierszaje.*

Rok	Dzik	Szarak	Bielak	Królik	Lis	Cietrz.	Jarząb.	Kurop.	Bażant
1931		129	1				20		
1932		113				1	14		
1933		210	8				38		2
1934		116			1		4		1
1935		239	9	1	1	5	24		
1936		225	6	11	1	1	19	1	
1937	2	226	4	10	1		7		
1938		158	16	1	2	10	26		

Uwaga: cyfry sezonu 1938/39 nie są kompletne.

II. *Rezultaty całoroczne.*

Rok	Kozioł	Dzik	Zając	Bielak	Królik	Ryś	Wilk	Lis	Borsuk	Tchórz	Łasica	Wiew.	Pies	Kot	Głuszec	Cietrzew	Jarząb.	Kurop.	Kaczka	Słonka	Jastrząb	Sowa	Wrona	Sroka
1931	6	7	129	1			2	8	3	9	30		15	41	4	15	28		32	26	121	1	176	17
1932	8	3	119	4			1	13		1	17		27	35	2	10	35		38	40	102	11	140	18
1933	6	1	247	9			4	5	2		12		24	28	2	22	46		38	37	77	10	135	14
1934	3	3	179			2	4	8	1	1	13		37	31	1	28	21		20	64	116	22	135	17
1935	11	4	313	12	1		14	10	2	1	4		24	17	2	32	43	28	8	43	59	10	78	8
1936	13		297	6	11		5	11	2	1	4	33	48	48	1	54	42	3	16	66	103	32	142	11
1937	10	6	304	13	27		3	25	2	1	3	63	44	53		57	18	7	8	41	107	32	324	35
1938	5	23			117										1		41							

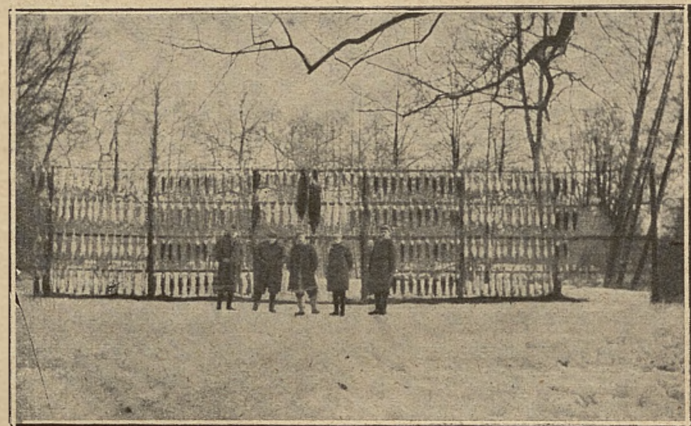
Podobnie jak w tablicy 1-ej cyfry sezonu 1938/39 nie są kompletne.

Dane cyfrowe tych dwu tablic wprost proszą o komentarze... Ileż to ciekawych uwag, wniosków i hipotez można snuć, zestawiając poszczególne rubryki w każdej z dwu tablic, lub też porównując rubryki tablicy 1-ej z odpowiedniemi rubrykami tablicy 2-ej... Jednak zupełnie rozmyślnie powstrzymam się od wszelkich komentarzy dla dwóch względów: 1) czytelnicy, których cyfry „nudzą", wogóle nie rzucą okiem na przytoczone tablice; 2) natomiast czytelnicy, rozumiejący wymowę cyfr, potrafią samodzielnie t. j. bez sugestyj ze strony autora, wyciągnąć interesujące i pouczające wnioski.

Z zamierzeń hodowlanych hr. Tyszkiewicza na najbliższą przyszłość wymienić należy zakładanie hodowli bażantów na dziko w folwarku Pierszaje. Prace przygotowawcze już są zakończone. Wprawdzie obecnie w lasach wialsko-pierszajskich trzymają się bażanty, jednak w ilościach nieznacznych, to też nowa bażantarnia będzie inwestycją hodowlano-łowiecką na szeroką skalę.

5. *Czerwony Dwór*

Mój szkic monograficzny byłby niekompletny, gdybym choć w niewielu słowach nie wspomniał o osiągnięciach hodowlanych hr. Benedykta Jana Tyszkiewicza w Czerwonym Dworze w latach 1905—1913. Wprawdzie Czerwony Dwór nie leży obecnie w granicach Państwa Polskiego, a warunki hodowli zwierzyny przed wojną były inne, niż dzisiaj, jednak sądzę, że przytoczenie czerwonodworskich rezultatów hodowlano-łowieckich hr. Tyszkiewicza będzie czemś więcej, niż wspomnieniem historycznem. Należy mieć na uwadze, że dzisiejsza Litwa przypomina bardzo pod wielu względami warunki łowieckie Wileńszczyzny. Nieznaczne różnice w tej mierze upatruję chyba tylko w nieco łagodniejszym (bardziej „morskim") klimacie Litwy Kowieńskiej w porównaniu z Wileńszczyzną oraz w zamożniejszej glebie Kowieńszczyzny. To też jestem zdania, że przy pewnem nasileniu kultury łowieckiej moglibyśmy u nas na Wileńszczyźnie osiągnąć śmiało jakieś 75% do 80% osiągalnych na Litwie rezultatów hodowli zwierzyny.



Wiała. Pokot zajęcy z r. 1937.

Oto cyfry ubitej w latach 1904—1913 w Czerwonym Dworze zwierzyny i szkodników.

Rok	Zając	Bielak	Lis	Wiew.	Pies	Kot	Cietrz.	Jarząb.	Kurop.	Jastrząb	Sowa	Wrona	Sroka
1904	63		25	5	86	56	10	2	267	122	81	320	24
1905	176	4	28	284	117	88	20	9	401	205	124	213	99
1906	337	5	16	379	78	62	1	26	475	248	133	1077	141
1907	298	2	37	398	104	88	13	50	525	277	204	1181	165
1908	133	4	62	91	150	113	1	43	129	272	174	1940	110
1909	418		29	65	207	101	42	12	102	373	182	2508	81
1910	678		39	723	159	88	22	28	450	338	235	1358	66
1911	1129	13	57	192	140	143	10	76	167	367	288	1504	151
1912	442		42	239	152	80	11	12	335	296	215	1583	54
1913	671		22	690	185	140	11	26	301	410	389	3515	157

Do cyfr tych dodać należy, iż prócz 100 par sprowadzonych kuropatw, żadnej innej zwierzyny nie importowano i że co roku wypłacano straży łowieckiej strzałowe w wysokości przeciętnie 500 rubli (tj. około 2 i pół tys. złotych). Przy tej wymownej tablicy nie umieszczam, podobnie jak przy tablicach poprzednich, żadnych komentarzy. Pragnę tylko do rubryki „zając" w r. 1911 nadmienić, że do cyfry 1129 ubitych zajęcy wchodzi liczba 1042 szaraków ubitych na czterodniowem polowaniu przy dżdżystej pogodzie w końcu października, a więc przeciętnie wypadnie przeszło 250 zajęcy ubitych jednego dnia w łowisku niemal sąsiadującem z łowiskami „dzikiej" Wileńszczyzny... Natomiast „nikłe" liczby 63 i 133 dotyczą lat (1904 i 1908), gdy gremjalne polowania nie były urządzane.

Rzecz ciekawa, że osiągnięcia hodowlane właściciela Czerwonego Dworu wielce irytowały ówczesnych zaborców i były solą w oku szowinistycznej prasy rosyjskiej. Miejscowe gazetki (może z namowy oficerów fortecy kowieńskiej, którym bez pardonu odbierano strzelby za bezprawne polowanie?) umieszczały złośliwe artykuły pod tytułami: „Wielkopanskaja bydłobojnia", „Państwo w Państwie" etc. Niestety, stojąca naogół na wysokim poziomie fachowa prasa łowiecka rosyjska też powtarzała te brednie. Głosy te jednak wcale nie martwiły właściciela Czerwonego Dworu, odwrotnie — zachęcały go raczej do tem intensywniejszej pracy.

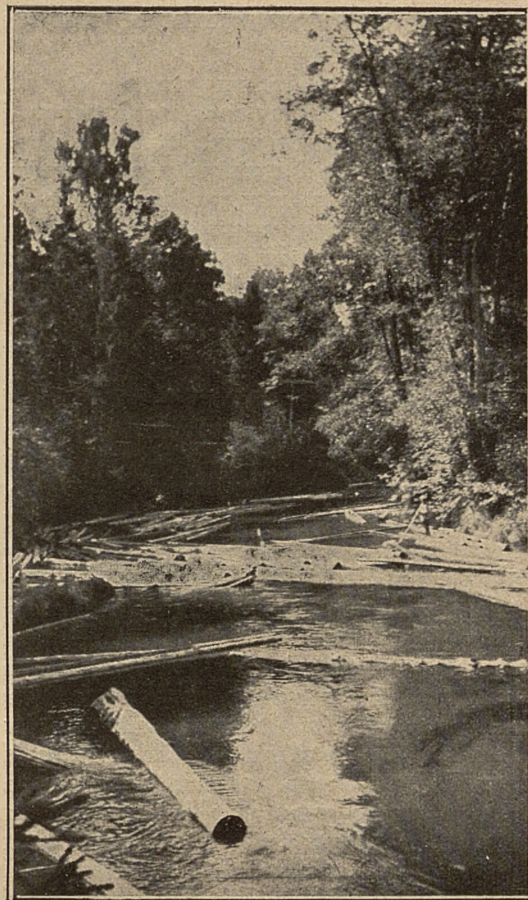
6. *Zakończenie.*

Ukazujące się zrzadka w literaturze łowieckiej opisy monograficzne pewnych łowisk zalatują nieraz panegiryzmem—często wbrew intencji autorów. Takie panegiryczne zabarwienie monografij odbiera im w oczach czytelników dużo wartości i daje pole do rozmaitych, jakże często niesłusznych, podejrzeń... To też w szkicu niniejszym starałem się traktować opis Wiałej jaknajbardziej rzeczowo, unikając superlatywów i pochwał, których zresztą ideowy myśliwy-hodowca nie potrzebuje i dla którego największą nagrodą za poniesione trudy są wyłącznie rezultaty tych trudów. Nie wyczerpałbym jednak tematu, gdybym choć w niewielu słowach nie opisał a t m o s f e r y m y ś l i w s k i e j Wiałej.



Wiała. Pokot dzików z r. 1938.

Jak wiemy, łowiectwo współczesne w Polsce balansuje pomiędzy dwoma biegunami. Jednemu z tych biegunów nadałem kiedyś nazwę „komercjalizacji", drugiemu — „romantyzmu". Z punktu widzenia logiki nazwy te może są nieścisłe, może nawet nietrafne.



Wiała. Spław drzewa na Isłoczy.

Sądzę jednak, że w samem brzmieniu ich tkwi dosadna różnica dwóch nastawień psychologicznych u naszych myśliwych. Komercjalizacja — to nastawienie psychiki myśliwego jeżeli nie na dochodowość w ścisłem znaczeniu, to w każdym razie na stronę materjalną, powiedziałbym — liczbową łowiska... Romantyzm — to sentyment myśliwski, to szukanie w łowiectwie i łowach silniejszych, głębszych dreszczy, niż samo zadowolenie ze zdobycia rekordu jednodniowego rozkładu hodowanej zwierzyny. Przesada w nastawieniu „komercjalistycznem" prowadzi do zjawiska, które ś. p. Weyssenhoff nazwał „grą w przestrzelanego" i „zwyrodnieniem myślistwa". Przesada w romantyzmie myśliwskim prowadzi do zacofania, do zapoznania zdobyczy współczesnego łowiectwa, do zgubnej zawsze jednostronności. Najlepszym więc bywa, jak zwykle, t. zw. złoty środek, czyli harmonijne połączenie obu nastawień.

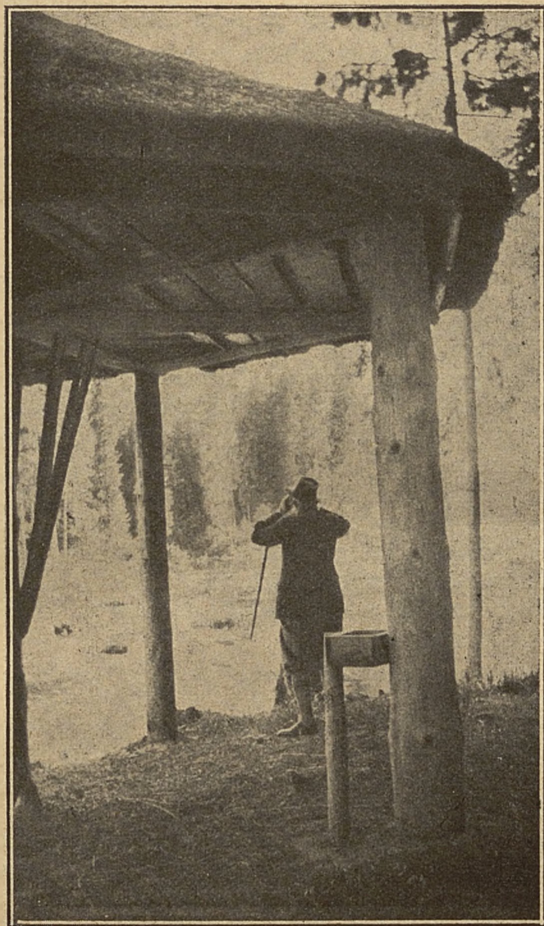
Tym właśnie złotym środkiem oddychamy w atmosferze myśliwskiej Wiałej. Właściciel Wiałej, który dobrze pamięta czasy, gdy niedaleko od jego rezydencji myśliwskiej stękały łosie jesienią i klapały głuszce na wiosnę, ma jednak pełne zrozumienie dla współcześnie pojętego łowiectwa. W początku bieżącego stulecia już rozpoczyna pracę piniersko-hodowlaną. Po wojnie, niszczącej do szczętu piękne rezultaty tej

pracy, nie upada na duchu i zabiegi pionierskie rozpoczyna od początku. Daniele, jelenie, króliki, bażanty, a ostatnio — bobry... Szeroką, różnorodną i śmiałą jest skala eksperymentów hodowlanych właściciela Wiałej! — Równocześnie dba on o rozmnożę zwierzyny miejscowej: rezultaty hodowli zajęcy i jarząbków, uwidocznione na przytoczonych wyżej tablicach, są najlepszym tego dowodem.

Każda sztuka ubitej zwierzyny wzgl. ubitego szkodnika jest w Wiałej rejestrowana i zapisywana. Rzadko które łowisko może poszczycić się tak sumiennie, dokładnie, przejrzyście i systematycznie prowadzoną statystyką ubitej zwierzyny, jak właśnie Wiała. W okresie, gdy luminarze naszego łowiectwa napróżno wołają o statystykę, gdy w najprostszych, zdawałoby się, działach łowiectwa daremnie szukamy choćby przybliżonych cyfr, gdy w wielu wypadkach musimy działać poomacku, na chybił trafił, bo pp. myśliwi „nie mają czasu" na zajmowanie się najkrótszemi chociażby zapiskami statystycznemi — w takim okresie archiwum łowiecko-statystyczne Wiałej przedstawia prawdziwą skarbnicę dokładnych danych cyfrowych. Ze skarbnicy tej czerpać będzie nietylko przyszły dziejopis łowiectwa polskiego: — każdy myśliwy, interesujący się tem czy innem zagadnieniem, znajdzie w archiwum łowieckiem Wiałej bogaty materjał do studjów i rozważań.

Obok tych prądów, powiedziałbym — współczesnych, atmosfera myśliwska Wiałej dyszy na każdym kroku umiłowaniem tradycji i głębokim sentymentem do prawdziwych, owianych romantyzmem łowów. Gdy z pałacyku myśliwskiego, zelektryfikowanego, skanalizowanego, urządzonego wewnątrz z europejskim komfortem i z artystycznym smakiem, wyjeżdżamy do kniei — sam widok kniei czaruje nas swym puszczańskim, pierwotnym urokiem. Rozumiemy wtedy, że jesteśmy w sercu dawnego „klucza" wołożyńskiego, że jeszcze nie tak dawno przez tę partję lasu musiały przesuwać się prahistoryczne sylwety ciągnących sznurem łosi, że nad tą ocienioną strugą bobry miały ongiś swe żeremia, że na tym dębie wiekowym zawieszone były barcie, chronione ruchomemi belkami lub najeżoną zębami broną przed wizytą niedźwiedzi...

Na zakończenie dodajmy, że hr. Benedykt Jan Tyszkiewicz, obok piastowanej wiceprezesury Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego w Wilnie (Tow. Łowieckiego Ziem Wschodnich), jest nadzwyczaj czynnym i energicznym, wręcz wzorowym Łowczym Powiatowym Związku na pow. wołożyński. W powiecie swym potrafił skonsolidować pod sztandarem całą inteligencję myśliwską, nietylko werbując ją na członków P. Z. Ł., lecz nadto wciągając do realnej, codziennej pracy społeczno-łowieckiej.



Zwierzyniec w Wiałej.
Widok na jeziorko z nad paśnika

W tych warunkach Wiała jest więc czemś więcej, niż „oazą", lub perłą łowisk północno-wschodnich: — jest ona bastjonem ideologji łowieckiej.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI



NA RYKOWISKU W BIAŁOWIESKIEJ PUSZCZY

Wśród pozostałości dawnej przyrody puszcze pokryte odwiecznym lasem są wyjątkowemi zabytkami z tych okresów, kiedy ingerencja człowieka nie tak mocno swą twardą stopą podporządkowywała świat roślinny i zwierzęcy swoim prawom i potrzebom. Dlatego też obserwacja fauny i flory w pierwotnych warunkach egzystencji może dać poniekąd wyjaśnienia na szereg zagadnień, dotyczących współżycia pomiędzy różnemi gatunkami roślin i zwierząt, pozwala też odtwarzać procesy naturalnego rozwoju, daje wreszcie możność wyjaśnienia roli, jaką pewne zwierzę czy roślina odgrywa w zespole odwiecznych praw rządzących puszczą.

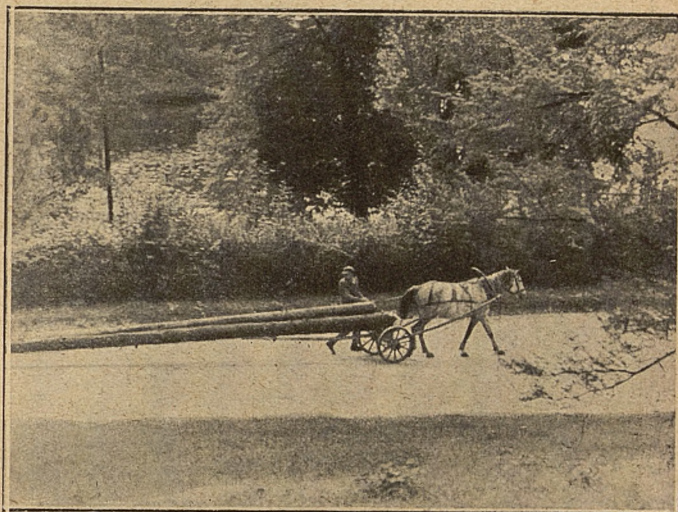
Ale są puszcze i puszcze. Są takie, które tylko z nazwy nazywają się puszczami, a w których nic właściwie puszczańskiego nie pozostało, a dominuje przedewszystkiem produkcja drewna, dla której człowiek stwarza nowe metody i prawa, jakże jednak złudne, jeśli chodzi o najlepszy wzrost lasu. Są to niby to puszcze, gdzie przez błędną i powierzchowną metodę hodowli jednego gatunku drzew karleją lub znikają te właśnie hodowane drzewa, bo fałszywe metody hodowlane doprowadzają roślinność do tego, że w tej niby to puszczy rozprzestrzeniły się różne pasożyty roślinne: mniszka, sówka, barczatka i in., które niszczą pseudo-puszczę, pozostawiając pustkowia i gołoborza.



Fot. 1. Młody łoś z Dawidgródka.

Jeśli chodzi jednak o prawdziwą puszczę, to Białowieża w znacznym stopniu na dużych przestrzeniach zachowała swą pierwotność. Jest to prawdziwa puszcza z jej przebujną siłą odradzania się, jest to jakby wielkie sanktuarjum pierwotnych praw istnienia, gdzie panują jeszcze w wielu miejscach te prawa, jakim u nas od początku powstania, po epoce lodowej, podporządkowywał się świat roślinny. I gdyby nie zachłanność ludzka, nie chęć zdobycia za wszelką cenę mięsa czy futra, utrzymałby się i zwierz prapierwotny w jej ostępach i matecznikach. Niestety, dawni mieszkańcy puszczy wyginęli w poważnej ilości. Zginął tur, tarpan, żubr, łoś, bóbr, niedźwiedź, rosomak.

Dążenie do restytucji niektórych z tych zwierząt uważać należy za bardzo chwalebne próby nadania puszczy pod względem faunistycznym jej cech pierwotnych. Fot. Nr. 1 ilustruje młodego łosia z Dawidgródka, sprowadzonego do puszczy, jako protoplastę nowej generacji.



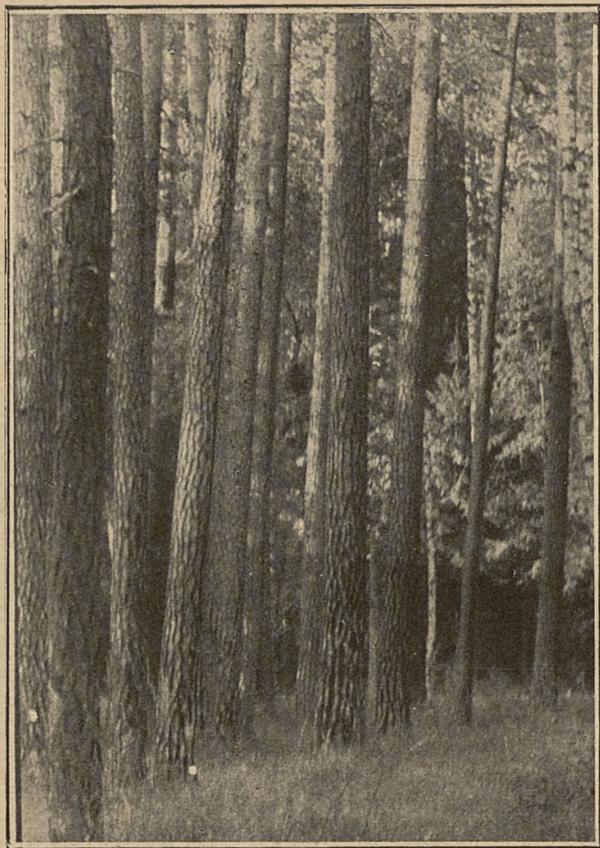
Fot. 2. Eksplotacja Puszczy Białowieskiej

I prastarego drzewostanu w Białowieży nie ominęła częściowa zagłada. Dziś eksploatacja (fot. 2) jest prowadzona z pewnym planem i umiarem, by puszcza nie straciła swego charakteru. Natomiast w czasie wojny światowej Niemcy okupowali puszczę i znaczne jej przestrzenie wycięli i zarazili kornikiem. Pomimo tej dewastacji, Białowieża, jeśli chodzi o drzewa, jest jeszcze puszczą i spotyka się w niej tak wysokie świerki i sosny, oraz tak grube dęby, jakie gdzieindziej o takich wymiarach są nadzwyczajną rzadkością. Wszystko w tej puszczy prastarej rośnie na podłożu starej próchnicy, którą utworzyły dawne pokolenia drzew i roślin w ciągu tysiącleci. Wszystko tam rozwija się z niespotykaną życiodajną siłą, świadcząc o potędze praw natury, jak np. te gęste sosny, które przedstawia fot. nr 3.

*

Cudny jest widok za słonecznego dnia tej bujnej, niepohamowanej w swym rozwoju roślinności, tych strzelających ku niebu wielowiekowych olbrzymów leśnych, tych gąszczów podszytu i gmatwającego się runa. Ale jeszcze większe robi wrażenie jazda wózkiem po wąskich ścieżynach leśnych nocą, przy księżycu. Te wysokie, opatrzone gotyckiemi wieżami świerków, ciemne, jakby jednolite mury boru, ten majestat puszczańskiej ciszy, te balsamiczne wonie, ten wilgotny powiew rzeźkiego powietrza, wszystko to stwarza niezapomniany odświętny nastrój, jakby jakieś uroczyste misterjum o nieskazitelnym wyrazie dawnego praistnienia, tych dawnych czasów, w których myśliwiec, uzbrojony w oszczep i łuk, polował na żubry i niedźwiedzie. Są też w puszczy olbrzymie

wykroty (fot. nr 4), pod któremi niedźwiedzie zakładały swe gawry, a dawni mieszkańcy puszczy, Jadźwingowie, korzystali z nich dla swych prymitywnych osiedli.



Fot. 3. Zwarty drzewostan sosnowy w Puszczy Białowieskiej.

Ale kontemplację, w jaką popadamy pod wrażeniem księżycowej nocy w Białowieskiej Puszczy, przerywa naraz gdzieś z odległej dali płynący jakiś odgłos przeciągły. Leśną ciszę mąci jakiś daleki dźwięk, jakby gwałtowny poszum wichru. Niewiadomo narazie skąd on dochodzi. Wsłuchuję się w ten dźwięk i poznaję daleki ryk jelenia...

Czy obecny jeleń w Puszczy Białowieskiej jest też odwiecznym mieszkańcem? Niestety, na to pytanie nie można odpowiedzieć pozytywnie. Dzieje jelenia w puszczy białowieskiej są niezmiernie ciekawe i ze względów hodowlanych pouczające *). Kronikarz, wspominając o polowaniach za Jagiełły i Witołda przed bitwą pod Grunwaldem, mówi o przygotowaniu solonej dziczyzny dla zaopatrzenia polsko-litewskiej armji i wymienia pomiędzy inną ubitą grubą zwierzyną również i jelenie. Ale w czasach znacznie późniejszych, prawdopodobnie za Wazów, jelenie ze szczętem wyginęły, bo w wielkiem polowaniu za Augusta III wymienia się, że padły 42 żubry, 13 łosi i dwa kozły — o jeleniach zupełnie się nie wspomina. Również i w polowaniach późniejszych, już za czasów zaborczych, np. za Aleksandra II w r. 1860, zabito 28 żubrów, 10 danieli, 2 łosie, 11 dzików, 16 wilków, 16 sarn, 7 lisów, 4 borsuki i 2 zające — o jeleniach znów niema wzmianki.

*) Informacje otrzymałem z Oddziału Łowiectwa Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży. (Przyp. aut.).

Jelenie sprowadzono do puszczy niezbyt dawno, początkowo w r. 1865 w liczbie 18 sztuk z maj. ks. Pless ze Śląska, wzamian za 4 żubry. W r. 1885 zjawiają się na rozkładzie 4 jelenie obok 10 łosi i 7 żubrów. Za czasów zaboru rosyjskiego jelenie hodowano początkowo w zwierzyńcu, gdzie się one rozmnożyły z 18 do 250 sztuk, ale karmę dawano tym jeleniom niedostateczną, tak że najsilniejsze jelenie nasadzały wieńce ósmaków, ponadto byki były drobne i wychudzone, a rogi miały bez pereł. Tylko te jelenie, które uciekły ze zwierzyńca na swobodę i rozmnożyły się, dały potomstwo silniejsze i z lepszemi wieńcami. Z powyższego jasnem się staje, że koniecznym warunkiem dla rozwoju wieńców i siły zwierza jest zadawanie karmy w dostatecznych ilościach, lub obfity żer naturalny i że nadmiar jeleni, jeśli nie mają żeru lub karmy, ujemnie wpływa na ich jakość.

Od roku 1891, w celu poprawienia jakości jeleni, zaczęto sprowadzać dla odświeżenia krwi nowe jelenie ze Śląska, Czech — te ostatnie skrzyżowane z amerykańskim wapiti. Również sprowadzono ze Spały i z Karpat. Łącznie sprowadzono ponad 500 sztuk byków i łań. W roku 1902 stan jeleni wynosił 2600 sztuk. Przybytek jeleni wykazują polowania. W roku 1897 ubito 26 jeleni, a w roku 1900 — 53 jelenie.



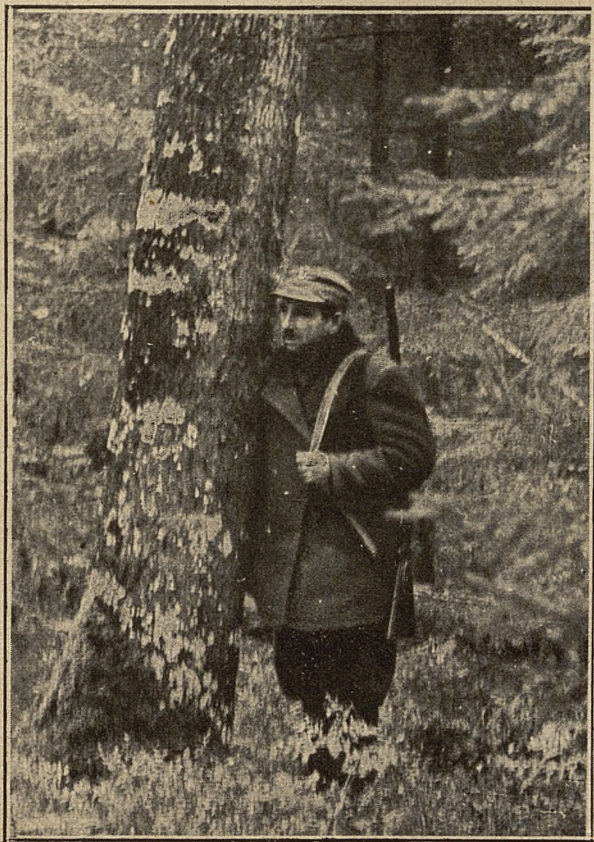
Fot. 4. Olbrzymi wykrot w Białowieży.

Przyrost jeleni w r. 1902 obliczano na 438 sztuk, a ogólny przyrost grubego zwierza na 2002 sztuki. W roku 1914 ilość jeleni wynosiła 6800 sztuk na ogólną ilość 16.300 grubszej zwierzyny łącznie z sarnami, co stanowi około jednej sztuki na 10 ha. Tubylcy, pamiętający te czasy, opowiadają, że zwierzyna nadmiernie rozmnożona wyjadała doszczętnie runo, pod-

rost i podszycia, spałowywała drzewa stojące, a nie znajdując w rezultacie odpowiedniej paszy, wywędrowywała do sąsiednich puszcz. Była to typowo rosyjska gospodarka. Jak rozmnażać, to rozmnażać, jak puszcza ma być dla zwierzyny, to niech będzie zwierzyna. Jaka — to wszystko jedno, byle car i jego goście mogli się dosyta nastrzelać. Rezultat jednak tego był taki, że jelenie były mizerne i cherlawe. Z danych prof. G. Röriga, z czasów objęcia Białowieży przez administrację niemiecką w latach 1916/18, wynika, że zwierz płowy był pod względem wagi i wieńców bardzo słaby.

Szóstaki	ważyły	przeciętnie	68,2	kg
Ósmaki	"	"	86,5	"
Dziesiątaki	"	"	93,6	"
Dwunastaki	"	"	113,0	"
Czternastaki	"	"	105,5	"

Przyczem tych ostatnich była znikoma ilość. Waga łań, na 386 odstrzelonych sztuk, wynosiła przeciętnie 61,5 kg. Co się tyczy jakości wieńców, to wieńce miały jakoby zdradzać cechy marala, z powodu braku symetrycznej korony. Również pozostawienie na sukni białych centek przez stare jelenie świadczyło o domieszce według Röriga krwi marali. Na 68 odstrzelonych byków ocenia Rörig tylko cztery jako bardzo ładne pod względem uperlenia. Waga największych wieńców dochodziła do 6 kg. i to u kilku byków. W przeciągu 2-ch lat rządów niemieckich miano odstrzelić 907 sztuk, a stan jeleni w marcu 1917 r. wynosił około 2000 sztuk.



Fot. 5. Strzelec, obserwujący jelenie.

Po wyjściu Niemców nastały w puszczy dla zwierzyny jeszcze gorsze czasy, bowiem rozpanoszyło się kłusownictwo, zwłaszcza za rządów Taryby. Administracja polska po objęciu puszczy naliczyła jeleni w 1919 r. 272 sztuki, a w końcu 1920 roku zaledwie 80 sztuk. W tych czasach przestały istnieć w puszczy żubr i łoś, wybite ostatecznie przez kłusowników do nogi. Te jelenie, które pozostały przy życiu, tj. około 1% w stosunku do 1914 roku, po tak wielkiej redukcji, musiała cechować w pewnej mierze specjalna ostrość tych zmysłów, które zapewniać mogą zwierzynie płowej maksimum bezpieczeństwa. Zostały egzemplarze najczujniejsze, o najlepszym słuchu, wzroku i wietrze, bowiem przy tak rozpanoszonem kłusownictwie nie raz jeden każde zwierzę z pozostałych musiało spotykać się z zaczajonymi lub podkradającymi się raubszycami.



Fot. 6. Ambona w Puszczy Białowieskiej.

Pozostałe egzemplarze dały początek hodowli jelenia za czasów polskich. Warunki egzystencji jeleni nietylko wskutek ochrony za czasów polskich zaczęły się poprawiać. Puszcza zaczęła powracać do właściwego stanu, nastąpiła regeneracja zniszczonych przed wojną, dzięki nadmiarowi zwierzyny, dolnych pięter lasu, przez co naturalnie żerowiska zaczęły dawać w nadmiarze najlepszą paszę dla płowego zwierza, jaką są gałązki i odrosty drzew. Rozmnażające się dzięki sprzyjały dzięki buchtowaniu rozrastaniu się podszycia. „Powierzchnie zrębów — podaje w swem sprawozdaniu Oddział Łowiectwa w Białowieży — zaczęły pokrywać się nalotem i odroślami drzew i krzewów i stwarzały dobre kryjówki dla zwierzyny". Ilość jeleni zaczęła szybko wzrastać, w roku 1928 jeleni liczono już 210 sztuk, a w roku 1935 posiada puszcza 687 szt.

Jakość jeleni w Białowieży stale się poprawia. Widać to z porównania dwu ostatnich wystaw: w War-

szawie i w Berlinie; na tej ostatniej wieńce jeleni z Białowieży przekraczają już 200 p. Nadlera. Na 7 byków ubitych w r. 1937 był już 1 — 20-tak, 3 — 16-taki, 2 — 12-taki i 10-tak. Największa waga ogólna wynosi 234 kg., najmniejsza 194 kg., przeciętna 215 kg. Najmniejsza waga wieńca 5,25 kg., największa 8,3 kg., przeciętnie 7 kg.



Fot. 7. Próba wabienia.

Polowanie na jelenie podczas rykowiska rozpoczęto w roku 1932, w czasie którego ubito 6 jeleni, w r. 1933 — 7 jeleni, 1934 r. — 6 jeleni, 1935 r. — 7 jeleni. W roku 1936 ubito 26 byków, przyczem trzy przekroczyły 200 p. Maksymalne wymiary u poszczególnych byków: długość tyk 113,25 cm., obwód róż 30 cm., długość ocznych 47,7 cm., ilość odnóg 18, najwyższa ilość punktów 210,19, waga byka maks. 270 kg. Minimalna waga 190 kg.

Zaznaczona uprzednio ostrożność jeleni, zwłaszcza byków, spowodowana jest, poza gremjalnem ich wybijaniem przez okupantów i kłusowników w latach 1916—20, jeszcze tem, że w puszczy bytują obok jeleni w poważnej liczbie ich najwięksi czworonożni wrogowie — rysie i wilki; zwłaszcza wilki przez właściwą ich ruchliwość zniewalają łanie do bezustannej czujności. Przebywając około 10 dni w rewirach, gdzie śladów wilczych spotykałem niemniej niż jelenich, mogłem zauważyć, że jelenie są nadzwyczaj ostrożne i łanie np. już na 300 kroków na zarośniętym zrębie wypatrywały nawet ostrożnie zbliżającego się leśnika (fot. 5). Byki cechuje niemniejsza ostrożność, aczkolwiek wilków mniej się naogół obawiają, a opowiadali leśnicy o jednym dwunastaku, który atakował i gonił wilki. Jeleń ten był „organistą", tj. jeleniem ryczącym bez przerwy prawie przez całą dobę; dobrze byłoby, aby takie egzemplarze były zachowane i dały podobne sobie potomstwo. Mogłem skonstatować kilka specjalnych znamion jeleniej, zwłaszcza byków, ostrożności. Pragnąc uzyskać wymiary tropów jeleni białowieskich, starannie oglądałem wszystkie dróżki i ścieżki, aby módz pomierzyć ślady. Niestety, odnośnie do grubych byków, które były bezwątpienia w rewirze, bo ryczały w nocy, nie udawało mi się zrobić ani jednego zdjęcia, aczkolwiek spotykałem tropy słabych i średnich byków i łań. Przypuszczam, że mocne byki przeskakują przez uczęszczane i wytarte drogi, rozumiejąc niebezpieczeństwo tropu. Byki jest też bardzo trudno zwabić przy jakiem takiem świetle, nie reagują one zupełnie, albo odpowiadając nie chcą się zbliżać. Natomiast nocą byki na wab idą bardzo chętnie i nadzwyczaj energicznie. Trzy razy udało mi się w nocy zwabić i to tak blisko, że raz jeden towarzyszący mi strzelec prosił, bym przestał. Byk ten, zwabiony w pobliżu leśniczówki, poszukiwał mnie później przez całą noc, gdyż ryczał gniewnie do świtu i tego jedynie udało mi się na mój wab skierować znów na mnie za widna, ale przed samym wschodem słońca. Niestety, zbyteczna ciekawość sąsiedniego strzelca, który wszedł między mnie a byka, udaremniła to ciekawe spotkanie, tembardziej, że byk ten był zdaje się 16-kiem. Widziałem go przez długość zrębu, tj. na 500 kroków w momencie, jak uchodził z rewiru.

Słysząc o 20-kach i 16-kach, puściłem bez strzału dwa słabsze 12-taki, a ułaskawiłem zbyt pośpiesznym i zgórowanym strzałem 14-taka. Byka tego zwabiłem w inny niż zazwyczaj sposób, udawałem mianowicie leżącego, a pomrukującego byka. Uważam bowiem, że wabienie głosem leżącego byka sprawia na jeleniach, który ten głos mogą usłyszeć, tego rodzaju wrażenie, iż mogą one w tym kierunku, skąd głos dochodzi, posuwać się bezpiecznie. Mniemam też, że jeśli na odgłos samotnego, poszukującego łań byka, ciągną pojedyńcze rogale, to nie dla czego innego, jak przedewszystkiem dlatego, że uważają się w tym kierunku za asekurowane. Dwa razy tego rodzaju wabienie, t. j. przez wydawanie głosu leżącego byka, udało mi się. Pierwszy raz najpierw wyszła łania z młodem, potem wysunął się silny byk z gęstwin. Jelenie żerowały, a pan byk, choć to była 4 godz. 45 minut, nawet się wygodnie o kroków 300 odemnie ułożył i mogłem go przez 15 minut, siedząc na ambonie, przez szkła oglądać. Myślałem, że do tego byka będę mógł strzelić, bo na moje dalsze wabienie wszedł on wraz ze swoją towarzyską w kulturę i ciągnął brzegiem w moją stronę. Był już na odległość strzału i przez moment widziałem jego wyniosły wieniec.

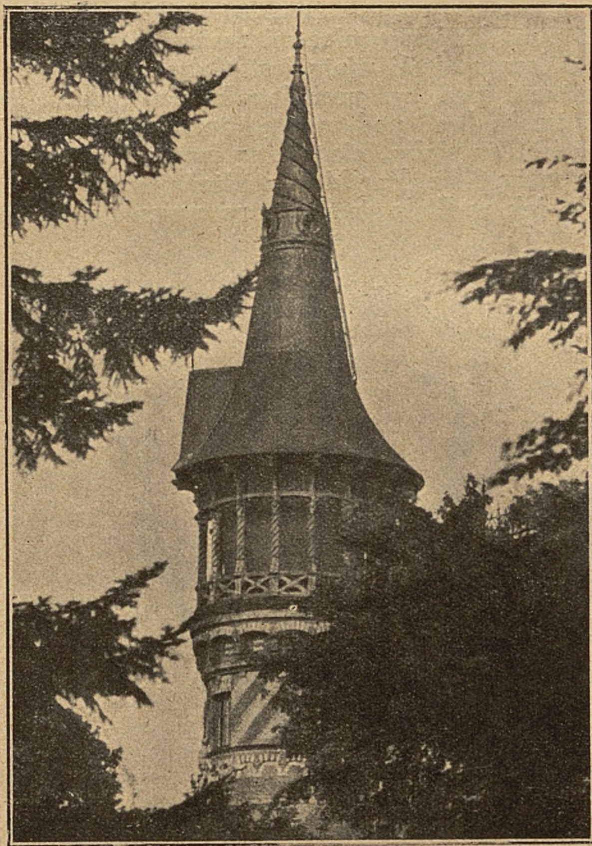


Fot. 8. Kąpielisko jeleni w Puszczy Białowieskiej.

Było już w pół do szóstej i z biciem serca oczekiwałem ukazania się byka na dukcie, gdy naraz posłyszałem w tej samej kulturze jakieś dziwne odgłosy, mlaskanie i chrzest żerującego stada. Po chwili zaczęła

się szybko wycofywać brzegiem kultury do gęstego lasu łania, sznurując ze swem młodem, a za nią porykując pokazał się pan rogal w pełnym kłusie, na dystans około 250 metrów. Strzał był ryzykowny, więc dałem spokój. Tymczasem pod samą ambonę podeszło stado dzików, składało się ono z samury i kilku warchlaków, oraz dwóch większych wycinków. Jeden z wycinków podszedł do mojej laski i zwietrzywszy w niej coś podejrzanego odskoczył, fuknął na nią gniewnie, lecz samura wydała jakiś uspakajający głos. Jeden z warchlaków zaczął ciągnąć mój letni złożony koło ambony płaszcz, zaryczałem na niego z całej siły jelenim głosem, ale on, jak i całe dzicze towarzystwo, nic sobie z mego ryku nie robił. Krzyknąłem więc na warchlaka po ludzku: — Poszedł won, złodzieju! Wywarło to na dziki pewne wrażenie, zaczęły nasłuchiwać, ale nie mogły się zorjentować skąd pochodzi głos, nie spłoszyły się i żerowały dalej. Tylko warchlak robił dziwne miny do mego palta, lecz i on odczepił się.

Na jelenie w Białowieży głównie poluje się z ambon. Ambony (fot. 6) są dość wysoko położone, do 10 mtr. i ukryte w gęstwinie świerkowej, oprócz tego są one obite gałęziami tak, że nawet zbliska kontury ich nie są widoczne i zlewają się z otoczeniem.



Fot. 9. Wieża pałacu myśliwskiego w Białowieży.

Odstrzał z ambony jest dogodny. Dla niepozostawienia śladów ludzkich, prowadzących do ambon, przeważnie się do nich podjeżdża. Wejścia na ambony są wygodne, a podłoga wysłana puszystym mchem, dzięki czemu myśliwy, znajdujący się na ambonie, nie sprawia najmniejszego szmeru, o czem mogłem się przekonać, gdyż obok mnie siadały na gałęziach różne mniej znane mi ptaszki, a nawet w pobliżu usiadł jarząbek. Raz do ambony przyleciało stadko małych, zupełnie białych, o dłuższych ogonach, ptaszków i narobiło dużo wrzawy, widząc mnie wysoko między gałęziami *).



Fot. 10. P. Inspektor Doubrawski z rodziną posokowców.

Rykowisko, na terenach gdzie bywałem przeszło tydzień, nie miało swych stałych miejsc, dzięki prawdopodobnie wilkom, które ściągnęły pod gromadzące się chmary, wskutek czego czujne przedownice prowadziły stada w tereny mniej uczęszczane przez bure drapieżniki. Jednego dnia rykowisko było w całej pełni, następnie zacichało i teren był przez kilka dni jak wymarły, poczem znów rozpoczynało się ryczenie, aby ze wschodem słońca ustać zupełnie. Jelenie w Białowieży zaczynają ryczeć bardzo późno po zachodzie słońca, co należy też zaliczyć do cech ostrożności, również i rankiem ze wschodem słońca wszystko się kończy. Wskutek suszy, jaka panowała w połowie października, najsilniejsze natężenie rykowiska miało miejsce w bagnistych, niesłychanie zarosłych bujną roślinnością gąszczach, gdzie podejście jest naogół bardzo trudne, a pole widzenia niesłychanie ograniczone do kilkunastu metrów. W takich miejscach kilka jeleni zazwyczaj ryczy jednocześnie — tak że na wabienie mało one tam zwracają uwagi. Fot. 7 przedstawia strzelców dozorujących polowanie. Jeden z nich próbuje wabik. Niektóre byki, chodząc z chmarami, nie odzywają się zupełnie, a to utrudnia obserwację i spotkanie. Spotyka się sporo byków z jedną łanią, co należy przypisać prawdopodobnie temu, że niema nadmiaru łań i że spory ich odsetek zwłaszcza młodszych pada ofiarą wilków;

---

*) Sikory ogonniczki (przyp. red.).

kilka takich wypadków było w czasie września ub. r. zanotowanych.

W puszczy, prawdopodobnie na skutek jej ogromu, nie widać wyraźnych przesmyków płowego zwierza.



Fot. 11. Studnia i stóg w puszczy.

Przyczyna leży w tem, że niema tam tak zwartych, jednostajnych drągowin i młodników, jak w sadzonych zagajnikach lub drągowinach. Podszycie i porosty są wszędzie, mniej lub więcej one wypełniają dolne piętra lasu, ale obok nich prawie wszędzie są wolniejsze przejścia. Być może, że ten brak widocznych jelenich przesmyków jest też dyktowany nadmierną ostrożnością w stosunku do wilków, jak i rysi, które, podobnie jak człowiek, wykorzystałyby przesmyki do napadu. Nawet do kąpielisk jelenich (fot. nr 8) nie wiodą ustalone przesmyki. Wilki w ostatnich latach tak się rozmnożyły w niektórych rewirach, że strzelcy dozorujący zwierzynę dostali prawo odstrzału tych drapieżców. Zrozumiałą też się staje taktyka łań, które unikają tego wszystkiego, co może ułatwić wilkom napaść na nie, a takie ułatwienie dają stałe miejsca rykowiskowe, przesmyki i określone ostoje. Dlatego też należy przypuszczać, że tam, gdzie są stałe wilki, jelenie wędrują z jednych miejsc na drugie, przebywając znaczne przestrzenie, a tylko w rewirach, do których wilki zaglądają rzadziej, są jelenie stałe, mające bardziej określone miejsce rykowiskowe.



Fot. 12.

Prawdopodobnie wilki ściąga na miejsce rykowiskowe to, co i ludzi. Jelenie w czasie godów są mniej ostrożne, a oprócz tego może się trafić silnie pobity lub nawet uśmiercony przez rywali jeleń. Równie też i łanie mniej w tym czasie dbają o swe młode, a więc jest łatwość w zdobyciu żeru.

Ciekawą jest rzeczą, że jelenie, zwłaszcza łanie z młodemi, boją się również i dzików. Czyżby żarłoczny czarny zwierz miewał apetyt i na cielęta w czasie, kiedy są one jeszcze niedołężne, bo prawdopodobnie w tym okresie zrodziła się ta obawa.

Polując w Białowieskiej Puszczy przez podchodzenie albo na wabia, trzeba, jak nigdzie chyba, może w Karpatach, zwracać uwagę na kierunek wiatru, przyczem, jeśli posiłkujemy się amboną, trzeba brać jeszcze pod uwagę prądy termiczne, które podług mnie wpływają również na pewne rozprzestrzenienie się zapachu, jaki niechybnie pozostawia człowiek, przechodzący lub siedzący na wyższem miejscu. W czasie, kiedy mamy t. zw. prądy wznoszące, t. j. wówczas, kiedy temperatura powietrza wzrasta, a więc od 6—7-mej zrana do godz. 2—3 po poł., ślad ludzki prędzej zanika i zaciera się wśród tych zapachów, jakie wydziela rozgrzana ziemia i runo leśne. Natomiast pod wieczór, w nocy i nad ranem, kiedy możemy liczyć przeważnie na spadek temperatury powietrza, zapach ludzkiego śladu ściele się wraz z prądami zstępującemi znacznie dłużej po ziemi, zwłaszcza jeśli wiatr jest słaby i w tym czasie ostrożność musi być posunięta bardzo daleko. Prócz tego trzeba brać pod uwagę, że na zrębach wiatr, o ile jest on słaby, ciągnie w innym kierunku, niż w wysokim lesie. Przykład poniżej przytoczony zilustruje jak w Białowieży wiatry zmieniają kierunek.



Fot. 13.

Otrzymawszy pozwolenie zapolowania w rewirze, gdzie ryczały w określonem miejscu 4 byki, z których 3 — 12-taki i jeden dziesiątak, udałem się tam ze strzelcem K. Jechaliśmy po wertepach z półtorej godziny, aby przed świtem być na miejscu. Jakoż przyjechawszy na miejsce skonstatowaliśmy, że ryczy na zrębie jeden mocny i jeden lub dwa słabsze jelenie. Ze względu na wiatr objeżdżamy zrąb dokoła, aby podchodzić pod wiatr. Rozstawszy się z końmi, idziemy przez większy las z 500 mtr. wprost na ryczącego mocniejszego byka. Zatrzymujemy się już o brzasku na 50 kroków przed zrębem i wypatrujemy

przez lornetki na bardziej odsłonięte miejsca. Po chwili wysuwa się z gąszczów na otwarte miejsce jeleń o tykach zakończonych koroną i sznuruje wprost na nas. Słyszę jednak, że najmocniejszy ryczy gdzieś dalej o 200 kroków z prawej strony. Jeleń, którego zoczyliśmy, staje na brzegu zrębu. Składam się i widzę go doskonale w szkłach lunety sztucera: jest to młody dwunastak o 4-ch odnogach w koronie, nie większych, niż palce ludzkie, nie ma nadocznych, a oczne słabe. Jest to więc jeleń przyszłościowy. Nie strzelam go, choć przechodzi koło nas zwolna o 30 kroków. Jest to ostrożny jegomość, bo wcześnie się wynosi ze zrębu, lecz nie poczuł nas na tak bliską metę, gdyż staliśmy z dobrym wiatrem. Podchodzimy pod zrąb i widzimy we mgle o 150 kroków przechodzące przez linję dwa byki; jeden bardzo mocny, z długiemi odnogami w koronach, drugi bez koron. Strzelić do koroniarza nie zdążyłem, bo za krótko widziałem go na linji. Byki ciągną pod wiatr, my za niemi, lecz podejść nam się tego dnia nie udało.



Fot. 14.

Na drugi dzień miałem w tem samem miejscu „wpadunek", jak to się mówi, z wiatrem. Przyjeżdżamy pod zrąb i badamy w wysokim lesie wiatr — jest wyraźnie zachodni. Objeżdżamy zrąb i dojeżdżamy na brzeg zapustu w miejsce, które przecina linja oddziałowa. Zaczynamy podchodzić przypuszczalnie tego samego co wczoraj, mocnego 12-taka. Po dojściu do ryczącego byka, który miał tego dnia łanię, na 200—250 kroków zaczynam się orjentować, że z wiatrem wraz ze wschodem słońca coś się dzieje niedobrego. Zaczynamy badać i okazuje się, że idziemy z wiatrem. Gdy zatrzymaliśmy się, byk cichnie, potem słyszymy najwyraźniej tętent oddalającej się pary. Po bliższem zbadaniu przy pomocy zapalonego papierosa okazało się, że na zrębie wiał wiatr południowo wschodni i wprost od nas do pary jeleni. Nic dziwnego, że czujna łania zwietrzyła nas wcześniej, niż zdołaliśmy podejść ich dwoje. Przechodząc zatem z miejsc zalesionych, o wyższym lesie, na zręby i odwrotnie, również przy wschodzie słońca, trzeba baczyć na wiatr, bo łatwo o fiasko, jakie mnie spotkało, gdyż okazało się, że powinienem był nie objeżdżać tego dnia wkoło zrębu, lecz, dojechawszy do niego wprost, podchodzić ryczącego byka z zupełnie innej strony. Nim zorjentowaliśmy się, było już zapóźno...

Rykowisko w puszczy zaczęło się w roku 1938 w ostatnich dniach sierpnia, to znaczy znacznie wcześniej, aniżeli w Karpatach, Polsce Środkowej lub Zachodniej. Po 20 września rykowisko przycicha. Wcześniejsze rozpoczęcie należy przypisać rychlejszym chłodom we Wschodniej Polsce.



Fot. 15.

Pobyt w puszczy daje myśliwemu moc rozkosznych spotkań, bo wszędzie spotyka się dużo zwierzyny, zwłaszcza ptactwa. Raz siedziałem na ambonie i nagle zauważyłem zbliżające się ku mnie ponad lasem dwa na sztych płynące duże ptaki. Chwytam za Leikę, lecz było zapóźno — o dwadzieścia kroków przepłynęły równym lotem dwa głuszce. Podchodziłem kiedyś jelenia pośród gęstych zapustów. Naraz cichym lotem przeszybowały nademną dwie słonki, potem o 10 kroków znów jedna. Jarząbki latają po puszczy, jak wróble, i wszędzie ich pełno po drogach.



Fot. 16.

Cietrzewie dały mi kiedyś niezwykłe widowisko, przesiedlając się w ciągu kilku minut z łączki na wysokie świerki i z powrotem. Może to stara uczyła młode lotu? Skrzydlatych drapieżników stosunkowo widzi się mało. Ptactwa wodnego i błotnego widziałem niewiele, ma ono widocznie swoje obwody. Sarny o świcie spotyka się ciągle, same jak i z młodemi. Kozłów widziałem kilka, lecz naogół nie odznaczają się one w puszczy silnemi parostkami.

Przyjeżdżając do Białowieży, mile uderza widok pałacu myśliwskiego ze strzelistą wieżą (fot. 9). Przy Oddziale Łowiectwa witają nas posokowce, które są oczkiem w głowie p. Inspektora Doubrawskiego (fot. 10). Jest dom gościnny dla przyjezdnych myśliwych, oraz kasyno Przysp. Wojsk. Leśników, gdzie można dostać obiad i kolację. Są też obszerne wspólne pokoje gościnne dla turystów, coraz liczniej zwiedzających Białowieżę, by poznać jej skarby przyrody, oraz obyczaje tamtejszych mieszkańców (fot. 11).



Fot. 17.

Jelenie białowieskie pod względem wieńców przedstawiają się dość różnorodnie. Na fot. 12, 13, 14, 15, 16 mamy różnie ukształtowane wieńce, znajdujące się w pałacu P. Prezydenta. Na fot. 17 typ dawniejszego wieńca. Widzimy więc typowe, t. zw. szlachetne o symetrycznym wieńcu, widzimy również wieńce o typie marali. Są byki z wieńcami bardzo silnie uperlonemi i zupełnie bez pereł, pomimo dużych wymiarów i obwodów. Z widzianych przeze mnie, choć na dalsze odległości, byków mogłem skonstatować, że przeważa typ o symetrycznych koronach, zbliżony do tych, jakie mamy na Pomorzu. Kolor wieńców czarny lub ciemno bronzowy. Byków o szarych lub żółtych wieńcach nie spotykałem. O jeleniu selekcyjnym mówi się, jako o rzadkości. Młode byki są zdrowe, dorodne i wyglądają obiecująco.

Podstawą pożywienia jeleni białowieskich, jak to omawiałem w artykule „Jeleń selekcyjny", są młode gałązki drzewne, a więc naturalny pokarm jeleni. Dzięki temu oraz na skutek, że Oddział Łowiectwa Dyrekcji Lasów Państw. stoi na stanowisku, iż nadmiar jeleni w puszczy jest niepożądany, a nawet szkodliwy, jakość jeleni w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo znacznie się poprawiła. Stare byki, które za czasów rosyjskich, t. j. w 1914 r., nasadzały wieńce ósmaków i dochodziły do 120 kg. wagi, dziś dochodzą do 20 odnóg w wieńcu i przeciętnie 220 kg. wagi, a zdarzają się jednostki i o 270 kg. Jeszcze lat dwadzieścia takiej gospodarki, a jeleń białowieski sięgać prawdopodobie będzie o pierwszą klasę nietylko wśród nizinnych, ale wogóle wśród wszystkich jeleni europejskich.

W puszczy można się wiele nauczyć. Kierunek hodowlany i stosunki panujące obecnie w puszczy dobitnie wykazują czem może być jeleń, jeśli ma to, co mu do życia jest niezbędne, i jeśli znajduje należytą ochronę, pożywienie i spokój. Skarlały przedwojenny jeleń odżył w Puszczy Białowieskiej w ciągu jednego pokolenia, czego świadkiem jest podwojenie wagi zwierza oraz wymiary i ilość odnóg w wieńcu. Niezbyt długi okres polskiej gospodarki łowieckiej jakże wybitne dał różnice w porównaniu z gospodarką rosyjską, niemiecką i litewską!

INŻ. TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

LUTY

Marzeniem przedwiośnia osnuty,
w oparach odwilży, w podmuchach zamieci
narodził się luty.
Nowinę radosną rozniosło po świecie
kropelek srebrzystych dzwonienie!
Już płyną, zbudzone słoneczną pieszczotą
szemrzące strumienie,
a śnieg przeleżały zamienia się w błoto.
Po chwili znów niebo się chmurzy
i tchnienie północy w kajdany lodowe
zakuwa kałuże.
Zwycięska śnieżyca zaściela ponowę!
Sikorki wydzwaniać przestały
i dzięcioł speszony nie bawi się w cieślę,
a głuszec wspaniały,
żartami lutego zrażony — nie kreśli.
Lecz luty napróżno się sępi...
Obłoków zasłona przerywa się cienka
i w cichym ostępie
znów dzwoni odwilży beztroska piosenka!
Gracz stary znów koła zatacza na śniegu,
a w trelach bogatki wiosenne brzmią nuty.
Czy wiecie dlaczego?
— Dlatego, że w słońcu zakochał się luty!

W. L. von FALKENAU

NAGANKI CICHE I NAGANKI GŁOŚNE

Na jednem z tegorocznych polowań zimowych na Kresach Wschodnich podjęto dyskusję na temat jak należy prowadzić na polowaniach zimowych nagankę: cicho, czy też głośno; podjęto, ale nie zakończono, gdyż część uczestników musiała odjechać, aby złapać pociąg do stolicy. Ponieważ poruszone zagadnienie ma swoją wagę, korzystam z gościnnych łamów „Ł. P.", aby tu swój punkt widzenia przedstawić i uzasadnić.

Otóż, mojem zdaniem, absolutnie ciche pędzenia są wskazane jedynie wówczas, gdy się ma zwierza zamkniętego w sznurach (fladrach). Wilk, ryś czy lis, zamknięty w ostępie, otoczonym chorągiewkami, widzi się w pułapce i staje się nadzwyczaj czujny na każdy ruch czy dźwięk. Wówczas, istotnie, wystarcza posuwanie się naganki w zupełnem milczeniu, aby zwierza ruszyć, nie płosząc go zbytnio, i wystawić na linję strzelców w ruchu powolnym, nie w galopie.

We wszystkich innych wypadkach naganka powinna być prowadzona głośno. Przez określenie „głośno" rozumiem nie dzikie wrzaski czy ciągłe trąbienie, które wogóle powinny być z lasu usunięte, jako nie licujące z powagą kniei i jej majestatyczną ciszą, ale tylko hukanie naganiaczy i postukiwanie po drzewach. Jest to, według mego rozumienia, niezbędne dla bardzo wielu powodów.

Przedewszystkiem więc prawie cała zwierzyna czworonożna, na którą się poluje zimą, żeruje w nocy, a śpi i wypoczywa we dnie. Poto więc, aby ją ruszyć z legowiska, koniecznem jest naruszenie ciszy w lesie dostatecznie wyraźne.



„Mały" p. J. Hołyńskiego przy robocie. Fot. A. Zalewski.

Byłem świadkiem takiego zdarzenia. Przy rozstawianiu myśliwych na linji zauważyliśmy w głębi świeżej poręby jakąś czarną masę, wyraźnie odcinającą się na tle śniegu. Przypatrywaliśmy się jej z oddalenia 200 m. i wyrażaliśmy rozmaite przypuszczenia, coby to być mogło, ale opinja jednego z myśliwych, że to jest dzik, nie znalazła uznania „bo ładny to dzik, co nie ruszył wobec zatrzymujących się i głośno rozmawiających myśliwych". Dopiero kiedy naganka przeszła już z pół miotu, zerwał się przed zdumionym strzelcem dzik, spiący słodko w rozkopanem mrowisku.

Takież głośne — ale nie hałaśliwe — posuwanie się naganki wskazane jest również w tych wypadkach, kiedy otropiony wilk, ryś czy lis jest osznurowywany z boków równocześnie z ustawianiem się myśliwych na linji. Ruszony przez nagankę zwierz, nieświadomy jeszcze tego, że jest okrążony, chętnie przywarowuje i, jeżeli naganka mijać go będzie w milczeniu — przerwie się w tył i będzie dla myśliwych stracony.



Po miocie. Z Nadniemeńskiego Kółka Łow. Fot. A. Bądzyński.

Drugim momentem, dla którego naganka powinna posuwać się głośno, jest okoliczność, że tylko w tych warunkach potrafi ona utrzymać właściwy kierunek i zachować łączność z sobą w gęstym lesie. Przy naganсe milczącej linja zaraz się wygnie, a potem przerwie, zostawiając duże luki nieprzepędzone. Pozatem przy cichych pędzeniach wysoce utrudnione jest zachowanie się myśliwych, mających miot oskrzydlać (flankować). Doświadczyłem obu tych niedogodności na sobie właśnie na tem polowaniu, gdzie dyskusję podjęto. Stałem na skrzydle, głęboko przesunięty w kierunku rozpoczęcia miotu. Czekałem po trąbce 5, 10, 15, 20 minut — nie słyszałem posuwania się naganki, nie widziałem nikogo z naganiaczy. Na odgłos żywej rozmowy na linji poszedłem w kierunku zbiórki i tu się okazało, że „cicha" naganka dawno już na linję wyszła, ale bez 8 naganiaczy skrzydłowych, którzy od pozostałych się oderwali.

Ostatnim wreszcie, ale nie najbłahszym momentem, przemawiającym na korzyść naganki głośnej, jest konieczność utrzymania łączności pomiędzy linją myśliwych a linją naganki. Myśliwy chce i powinien wiedzieć, co dzieje się w miocie, czy naganka ruszyła, czy idzie we właściwym kierunku, czy się już zbliża, czy ruszony zwierz nie próbuje przerwać się w tył lub na boki. Okrzyki naganki: „trzymaj, trzymaj!", „nie puszczaj!", „dzik, dzik!", „pilnuj lisa"!— ileż dają wzruszeń całej linji myśliwych, choć wybrańcem losu będzie tylko jeden.

Wysoce przesadna jest bowiem obawa zwolenników pędzeń cichych, iż zwierz gruby pod wpływem takich okrzyków, czy wogóle przy pędzeniu głośnem, z zasady przerywa się w tył. Właśnie na temże polowaniu dzik w miocie próbował forsować „cichą" nagankę i dopiero gwałt przez nią podjęty zawrócił dzika na linję, gdzie też padł.

A ileż to lisów zdobywamy na jesiennych polowaniach na zające, kiedy cała naganka uzbrojona jest w kołatki czy grzechotki!

J. GIEYSZTOR.

NAD SOWIECKĄ GRANICĄ

Udane, ciekawe spotkanie z wilkami zawsze służy jako przedmiot wspomnień i rozmyślań, któremi lubo jest podzielić się z miłującą polowanie bracią. A spotkanie było niebywałe.

Po świeżej, głębokiej ponowie wyjechałem 5 stycznia r. b. o 11-ej z Korca, by o 12-ej z minutami stanąć w leśniczówce Hullanka rewiru Storożów, powitany na ganku przez leśniczego miłym meldunkiem:

— Mamy wilki — w Brzozowem bagnie jeden duży, w Sajczukowej dwa młode.



Makar z Książęcej Rudy. Fot. J. Hołyński.

Dla wyjaśnienia powiem, że las Storożowski leży nad samą granicą sowiecką, o 14 klm. na północ od Korca na Wołyniu, obejmuje obszar około 2000 ha i stanowi część dawnych lasów Piszczowskich, wśród których leżał park Pilawin, a które pozostały za granicą. Od kilku lat wilki rosyjskie są częstymi w tych stronach gośćmi, z początku jeno przechodząc przez granicę, a od roku zeszłego przedłużając swe zagony i rozprzestrzeniając się po okolicznych lasach po polskiej stronie. To też wiadomość leśniczego nietyle mnie zdziwiła, co ucieszyła, tembardziej, że Brzozowe bagno, to malusieńki ostęp, graniczący prawie z leśniczówką. Nad nim też skupiło się całe moje zainteresowanie.

Sprawdziwszy tropienie, wybrałem sobie stanowisko za grubym dębem, z dobrym wiatrem, na wysokopiennym dębowym lesie, mniej więcej w osi bagna, i pociągnąłem fladry od siebie w dwie strony, zostawiając wszystkiego 100 metrów przejścia. Bagno mierzyło 400 metrów długości i nie więcej jak 150 szerokości. Z jednej strony ponad bagnem biegła droga, po której poszły fladry, z drugiej trzeba było je ciągnąc lasem. Na końcu sznurów stanęli chłopcy — „mołczuny". Odemnie do gąszczów było 150 m. i stałem formalnie w korytarzu łopoczących zlekka chorągiewek, mając koniec sznurów na lewo o 30 metrów, a na prawo o 70; za sobą czysty zrąb, przecięty smugą łozy za mojem stanowiskiem. Fladry w kierunku miotu zlekka się rozszerzały. Zamknęła ostęp naganka, złożona z 15 chłopców i 4-ch gajowych.

Gdy trąbki zagrały i miot się zaczął, niebywała emocja ścisnęła mi gardło. Znowu po 2-ch latach miałem ujrzeć starego wilka i to w takich wyjątkowych warunkach, na samej rubieży, blisko tamtych dobrze znanych kniej, które on i teraz często nawiedza. Westchnąłem do św. Huberta, „aby nie zaraz" i rzeczywiście dobrych kilka minut upłynęło, zanim z majaczącego się bagna wypadł basior. Szedł potężnie w pełnych susach, ciężko prując śnieg, wprost na mnie, tak jakby wzdłuż bliższego lewego sznura.

Stojąc trochę wyżej, widziałem dobrze szeroki czarny grzbiet, ogromny łeb i przerażone ślepia, tylko co ze snu obudzonego zwierza. Trudna była decyzja w jakiem miejscu strzelać — wszędzie było luźno — dąb od dęba daleko, żadnych luk, żadnych przecinek. Z jednej strony rozkoszą było sycić się takim widokiem, z drugiej wolałem czegoś strzelać przed sobą — na sztych. Pierwsza kula na 50 kroków chybiła, ale nic już wilka powstrzymać nie mogło; druga, staranniej wymierzona, trafiając wprost w paszczękę, przewaliła zwierza do góry nogami, już na 15 kroków odemnie. Szamotał się dobrą chwilę, dobiłem go śrutem i znów cisza ogarnęła las, chłopcy po strzałach umilkli, nerwy moje powoli wracały do równowagi, a oczy pieścił cudny widok rozciągniętego głęboko w śniegu wspaniałego wilka, niedawnego pogromcę naszych biednych sarn, z wysoko poderwanym, okrwawionym łbem. Wkoło czerwienił się śnieg. Z głębi miotu wychodziła zziajana naganka.



Do wzmianki w kronice z polowania w nadl. Drohiczyn: p. E. Falkowski przy ubitej waderze. Fot. W. Bańkowski.

Druga para wilków, w międzyczasie polując za sarnami, wysunęła się z Sajczukowej. Dopadliśmy je jeszcze o 2 klm. dalej w Jewtuchowem błocie, gdzie, biorąc ostęp bez fladr, a wilki w ruchu, udało się wyprzeć młodą wilczycę na towarzyszącego mi inspektora plantacji cukrowni Koreckiej, p. Namysłowskiego, który ładnym strzałem śrutem powalił ją na miejscu.

Parę minut po 3-ej, syci wrażeń, byliśmy już z powrotem w leśniczówce.

ROMAN POTOCKI

NA TROPACH DZIKÓW

Ćwierć wieku minęło z większym okładem, kiedy najulubieńszą lekturą moją była książka p. t. „Wielkie łowy". Jak przez mgłę, widzę jeszcze teraz jasną okładkę z dużym czerwono złotym tytułem. Niektóre przygody myśliwskie, opowiadane przez znakomitego myśliwego ś. p. K. Wodzickiego, wryły się głęboko w pamięć, stając się jak gdyby drogowskazem na całe życie — gdzie szukać najbardziej podniecających przygód łowieckich.

Opowiadał w owej książce wielki myśliwy karpacki o swych łowach na dziki i niedźwiedzie w cudnych kniejach gór naszych. Zwłaszcza dwa opowiadania, a raczej dwa spotkania, tkwią mi wciąż żywo przed oczami: z niedźwiedzicą i stadem dzików. Spotkanie z niedźwiedzicą mogło mieć przebieg tragiczny, gdy bowiem zwierz sięgał już łapą, uzbrojoną w groźne pazury, do głowy K. Wodzickiego, taki djalog miał miejsce: „Strzelaj" — wołam — „Kiedy jedna wystrzelona, a druga klapie"... Złowrogo szczęka broń i w ostatniej chwili wysłana kula wyjaśniła sytuację. O potędze wzruszenia mogłem dokładnie zdać sobie sprawę, gdy jesienią przed dwoma laty zwaliła mi się rozjuszona niedźwiedzica pod same nogi.

Drugie opowiadanie zawierało ustęp o spotkaniu ze stadem dzików. Towarzyszył K. Wodzickiemu w łowach tych jakiś miejscowy myśliwy, świetny tropiciel i strzelec. Spotkane stado dzików ruszyło wprost na owego myśliwego. „Dopuścił dziki bardzo blisko, dwoma wystrzałami powalił dwie ogromne sztuki i upadł, a po nim przebiegło całe stado". Zdawało się, że spotkanie będzie miało jakieś tragiczne zakończenie, gdyż myśliwy nie dawał znaku życia. Tymczasem okazało się, że, lubiąc nadmiernie zaglądać do kieliszka, kropnął sobie na krótko przed spotkaniem dzików większą manierkę gorzałczyny i strzelał już tylko resztą świadomości, którą zaraz potem utracił, przewracając się przed dzikami. „Dziki" przebiegły po nim, nie wyrzadzając większej krzywdy.

Poza temi przygodami tkwiło mi w pamięci, że polowono często po tropach, dochodząc dziki w barłogach, gdy tylko sprzyjał świeżo spadły śnieg, tłumiący kroki myśliwych.

Cichem marzeniem mojem było właśnie zapolować w podobny sposób na dziki w praborach karpackich.

W styczniu r. ub. szczęśliwie ułożyły się okoliczności. W górach śniegu napadało w pierwszej dekadzie sporo i warunki lwowskie pozwoliły mi zaraz spakować plecaki, krótkie myśliwskie narty, aparat fotograficzny, no i co najważniejsze, (przepraszam bardzo tych, co tylko z aparatu fotograficznego strzelają) ekspres i naboje.

Telefon do Iłemni, do zawsze gościnnych pp. Machów, zabieram towarzysza dr. B. i już nas niema we Lwowie. Już jesteśmy w wagonie, pociąg ruszył, niech się teraz telefon przy biurku urywa, niech się świat wali, niech się pali, niech się topi, nic mnie to już wszystko nie obchodzi.

Biedny mój towarzysz tylko na dwa dni może wymknąć się w góry, więc popłakuje zcicha, że zaraz wracać będzie musiał. Ale i dwa dni coś warte, szybko pocieszam i łzy Zdzisiowi ocieram. Już powesełał i wnet obaj zapadamy w beztroską drzemkę, kołysani miarowym stukiem kół wagonu.

Wtem — przykrość. Pod Stryjem stajemy w szczerem polu. Co się stało? Brakło pary, pojedziemy za kilkanaście minut. Brakło pary? Dlaczego? Jakto dlaczego? Przecież wczoraj było w Stryju — 25 C, a dziś wieczorem jest pewno więcej. Ile? 25° C? Gdzie? — W Stryju? No, to w górach będzie więcej. Ładna historja, zamienimy się w bryłki lodu. Uszy do góry, pocieszam towarzysza — już odmrażałem nieraz i nie dwa, nos, uszy, ręce i nogi, także i twarz, tymczasem żyłem, żyję i może jakoś żyć będę. Jazda dalej.



Cudny jest świat w mroźny poranek. Fot. J. Błeszyński.

Nocujemy w Broszniowie. Mróz rzeczywiście straszliwy, aż dech w piersiach zapiera. Byle wiatru nie było. Rankiem jedziemy kolejką. Niestety, omarzłe szyny i niezbyt przetarta trasa nie pozwalają na wykorzystanie motorowej drezyny. Bylibyśmy wcześniej na miejscu. Jazda kolejką zabiera o wiele więcej czasu i po przyjeździe do nadleśnictwa możemy dnia tego tylko troszkę przespacerować się, więcej dla ćwiczenia na nartach z ciężką bronią na plecach, niż w celach łowieckich.

Cudnie, cudnie jest w górach! Niebo bez chmurki, wiatru ani śladu. Wnet zapominamy o srogim mrozie (wciąż około 25° C). Śnieg skrzy się czarodziejsko, jodły i świerki ozdobione okiścią, osrebrzone wspaniałym szronem, przeczyste powietrze wdziera się

radośnie do płuc, wzrok biegnie ze szczytu na szczyt, nurza się w dolinach, kąpie się w blaskach słońca, raduje się skarbami barwy, kształtu, światła i cienia. Ale oto zapłonęły już purpurą szczyty Arszyc, płonie też daleki szczyt Sywuli, a pomimo tych ogni mróz tężeje, władczy mrok obejmuje doliny, sunie coraz wyżej, trzeba wracać. Ah, prawda, szukaliśmy tropów dziczych — nie znaleźliśmy, tylko jelenie, sarnie i lisie. No, to fraszka, znajdziemy jutro, pojutrze, może wcale, ale będziemy ich szukać, szukać, zagłębiając się w przedziwnie piękną karpacką knieję, zaglądając ostrożnie w najtajniejsze zakątki siedzib grubego zwierza.



Wszędzie pełno tropów grubego zwierza. Fot. J. Błeszyński.

Dziwna cisza panuje w praborze, nawet gdy dzięcioł zastuka w zmurszały pień, lub gdy sikorki, z innymi towarzyszami wędrując gromadką, delikatnie wabią. Wydaje się, że te głosy z ciszą puszczy są złączone nierozdzielnym węzłem. Ciszy nie mącą. Rozmawiamy szeptem, jak w gotyckim tumie, chociaż nic spłoszyć nie możemy, zwierza blisko niema. Boimy się spłoszyć ciszę, boimy się narazić puszczy nierozważnym dźwiękiem. Szybko znoszą nas narty z grzbietu, na który z takim mozołem musieliśmy się drapać, a później przesuwać się poprzez złomy i zwały leśnych olbrzymów. Teraz, gdy już wydobyliśmy się na połoninę, lekko zsuwamy się ku nadleśnictwu, znacząc szerokiemi bróździami śnieżny całun.

Szykujemy na jutro wyprawę do oddziału 48. Jest tam dużo starego buka i bukwi poddostatkiem. Powinniśmy tam spotkać i dziki. Według ułożonego planu pniemy się następnego ranka pod wysokie zbocze. Skrzypi śnieg pod nartami, mróz trzyma siarczysty, nawet przybiera na sile. Po przeszło godzinnej wspinaczce osiągnęliśmy płaj i teraz już łatwo posuwamy się wzdłuż zbocza. Wnet mijamy część porosłą niebotycznemi jodłami i smerekami, dostajemy się w gruby las bukowy. Co tu śladów dziczych! Wszędzie ryły, buchtowały. Tropów i żerowisk coraz więcej. Wreszcie jesteśmy w środku raju dziczego. Trzeba szukać najświeższego tropu. Odpinamy narty. Ja z dr. B. idziemy obcinać żerowisko nad płajem, Nykoła, strażnik łowiecki, poszedł poniżej.

Nie minęło 10 minut, gdy słyszę pisk myszy. Przecież to znak Nykoły, że znalazł zwierza. Zawracamy — krótka narada. Dziki żerują poniżej płaju. Nykoła wskazuje dr. B. miejsce, którędy prawdopodobnie ruszone stado przejdzie, mnie zaś prowadzi pod dziki, a raczej nad dziki. Możliwie ostrożnie i jaknajciszej sunę naprzód według wskazówek Nykoły. Po przejściu jakichś 200 kroków, wychyliwszy się z za złomu, widzę żerującego dzika. Właściwie widzę tylko trochę grzbietu, reszta ukryta za bukiem i w śniegu. Dalej iść nie sposób. Mierzę, zdawało mi się, najdokładniej i strzelam. Zakotłowało się podemną, jeden dzik idzie wprost na mnie — grube drzewa zasłaniają mnie całkowicie — zwierz ukazuje się na kilkanaście kroków. Strzelam z lewki, zakurzyło się z łopatki, jeszcze dwa susy i dzik wali się do zworu. Co z resztą? Gdzieś niżej migają cienie, poszły w zwór, nie zaś do góry, gdzie czekał mój towarzysz. Pierwszy strzał przepadł gdzieś w śniegu czy innym grubym buku, inaczej — pudło. No, ale dzik jest i wracamy *io triumphe*. Zwłaszcza, że w nadleśnictwie niedowierzano w skuteczność tego rodzaju łowów. Dzik oczywiście został na miejscu strzału, poślemy jutro po niego dwóch ludzi i konia, aby 100 kg czarnej wagi do nadleśnictwa ściągnęli.

Opuszcza mnie dziś Zdzisio kochany. Mało mamy czasu. Rankiem tropimy za pojedynkiem, co w nocy zbuchtował pole pod lasem, ale łajdaczyna wyniósł się za granicę, do rewirów Sylwinji. Musimy poprzestać na pięknej przechadzce poprzez zrąb, pełen tropów jelenich, przyglądamy się sarnom, które przez chwilę darzą nas wzajemnością, aby zaraz potem zniknąć w gąszczu, jak duchy leśne. Teraz zjeżdżamy do potoku, trochę na łeb, na szyję, poprzez zasypane śniegiem maliniaki, kłody i pnie. Na dole czekają sanie, któremi towarzysz mój wraca do nadleśnictwa, aby po obiedzie kolejką wracać ku domowi. Ja z Nykołą zostajemy, wrócimy na nartach, a po drodze przetropimy 45-ty oddział, pełen starego buka. Trzeba wspiąć się na pokaźny szczyt, odrobić 8 km, ale to zwykła rzecz, gdy się chce po górach włóczyć.

Zaraz na przesmyku trafiamy na trop bardzo grubej sztuki. Przyszedł, poszedł. Przetrząsamy całe zbocze, odnajdujemy żerowiska. Nie ulega wątpliwości, że gruby dzik często tu przebywa. Tylko dziś go tutaj niema. A potężne bydlę, trop niczem jelenia! Może się jeszcze zobaczymy.

Czwarty dzień pobytu. Walimy z Nykołą srogi szmat drogi, coś z 10 km. Jedno zbocze jest wstrętnie strome. Dalej Nykoła gubi kierunek i tracimy przy tej sposobności kilkanaście metrów wysokości. Musimy je odrabiać. Żebyś spuchł, co cię i tak nie minie, przyjacielu. Nigdy nie przypuszczam, że na nartach będę brał takie przeszkody, które latem z szacunkiem omijałem. Wreszcie jesteśmy pod samym grzbietem. Na przełęczy jest znów pełno tropów i żerowisk. Grube, grubsze i mniej grube sztuki

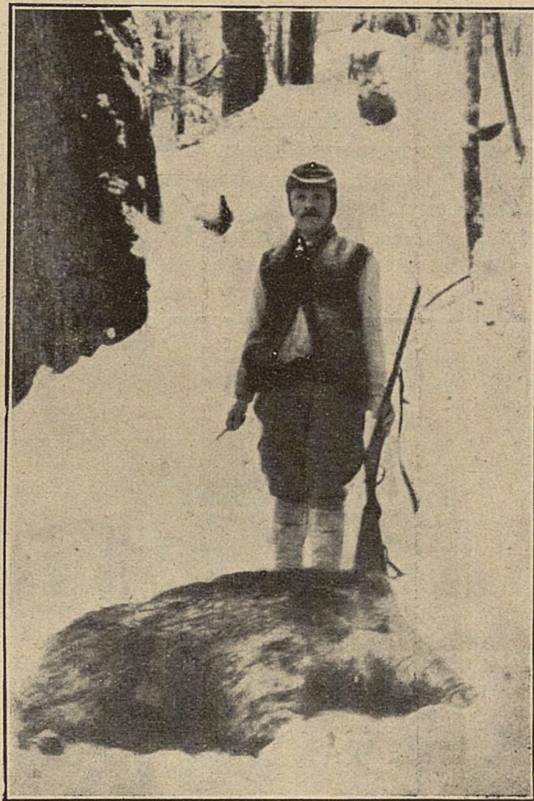
szwędały się na prawo i lewo. Gdzie ich teraz szukać? Stosuję tę samą taktykę, co przedwczoraj. Zostawiamy na przełęczy narty. Jeden na prawo, a drugi z nas na lewo idzie obcinać i szukać świeżego tropu. Po 30 minutach spotykamy się. Nic mądrego nie zbudowaliśmy. Trudno z plątaniny tropów coś wyczytać. Powoli posuwamy się krajem gęstego podrostu. Nykoła pierwszy, ja za nim. Wtem coś mignęło— dziki! Zrywam broń, strzał — beznadziejny... Żeby Nykoła obciął jak należało, nieco niżej, żebym szedł pierwszy, żebym miał broń do strzału przygotowaną, a trzeba było się spotkania spodziewać, żeby ciocia miała wąsy, itd. o, „wiek żywi, wiek ucziś", mawiali Rosjanie, co można tłomaczyć: mądry Polak po szkodzie.

Trzeba wracać. Zjeżdżamy do potoku przez zrąb jakimś jelenim płajem, poprzez maliniaki, które tylko chrzęszczą pod śniegiem, na znak, że one tu w lecie królują bezspornie. Zręcznie wtykam jedną nartę pod przysypaną śniegiem kłodę (co za brak kurtuazji, nie usunęła się z drogi!) i kładę się w śnieg, główką naprzód. Tfu, żeby cię wszyscy djabli wzięli. No, jakoś się dalej zjechało teraz wygodnym płajem, potem łąką na dół, bardzo przyjemnie. Przecinamy znajomy przesmyk. O! nasz znajomy był znów tu dzisiejszej nocy i wrócił w młodnik.

Hm! Godzina? 15 min 15. Późno, ale może zaległ niedaleko? Od pełnego korytka nie miał powodu zbytnio oddalać się. Odpinamy narty i możliwie szybko a ostrożnie posuwamy się za wyraźnym tropem. Dało nam, zwierzę, szkołę! Wpędziło na taką samą wysokość, z jakiej dopiero co zjechaliśmy, na sam grzbiet, i poszło sobie dalej wylegiwać się gdzieś w gąszczu, pod świerkiem. Dwie godziny prostopadle (powiedzmy, prawie prostopadle) pod górę! Tfu, zwarjowałem, czy co? A ten Nykoła, gdy w połowie zbocza wspominałem, że ściemnia się, no i do góry iść trzeba po śniegu wyżej kolan — niby cicho i na biało dzień mocno przedłużony, ale ciężko djabelnie, tc ten Nykoła zamiast inteligentnie przytaknąć i zawrócić, to mówi: „A może on tu o parę kroków dalej leży?" I ja mu przyznałem rację! W wyniku zdobyliśmy przeklęte zbocze szturmem wprost, a co najgorsze, porośnięte pod samym szczytem tak gęstą świerczyną, że na czworakach, pławiąc się w śniegu, trzeba było przemykać się, mróz zaś nie żartował. A potem bez nart, które spokojnie czekały na dole, brodzić trzeba było po jeszcze głębszym śniegu, prawie już pociemku. Dobrnęliśmy wreszcie do przesmyku, odnaleźliśmy narty i teraz jeszcze tylko te ostatnie 6 km do nadleśnictwa. Drobiazg.

Przyznaję się, że po 10 godzinach na nartach i bez nich, z tem interesującem zakończeniem, czułem się po powrocie bez ducha. Sforsowanie schodów na pięterko, gdzie rezydowałem, sprawiło mi większą trudność, niż marsz wieczorny za dzikiem. P. inż. Mach zlekka wspomina, aby jeden dzień wypocząć, a Nykoła poleca ograniczać dzienne odległości wycieczek. Cóż więc jutro? Ano, niech Nykoła przyjdzie rano o 8 min. 30, to zobaczymy. Dla pewności daję polecenie najęcia konika z saneczkami, aby nas podwiózł dokąd się da.

Mimo wczorajszego rzetelnego zmęczenia, wstaję rano rzeźki i wkrótce huculski konik ciągnie nas na t. zw. 9 km., skąd po godzinnym marszu dostajemy się w dzicze rewiry. W nocy padał śnieg, prószy jeszcze cały dzień. Utrudnia to w dużym stopniu tropienie i dopiero na jutro zapowiada świetne warunki. Mokro dziś i ciepło, chociaż okazało się po powrocie, że rano było mrozu 18° C, a zdawało się, że jest ciepło. Żerowisko dzików odnajdujemy dość szybko. Po kilku dniach ćwiczeń nabraliśmy wprawy i już wiemy gdzie szukać. Otóż i dowód dzisiejszej uczty nocnej. Ślady prowadzą przez stary barłóg, potem na dół, potem do góry, znów na dół. Jesteśmy akurat tam, skąd zaczęliśmy iść za tropem.



Nykoła przy ubitym dziku. Fot. J. Błeszyński.

Ano, trzeba zacząć nanowo szukać. Zatem na dół, do góry, znów na dół. Psiakrew, toż znowu jesteśmy, już trzeci raz, przy tym starym barłogu. Co za licho weneckie? Wreszcie Nykoła pod gęstym świerczakiem, pomiędzy wykrotami, trafia na wyjściowy trop. Jeszcze 150 kroków i już migają w podroście jodłowym dzicze cienie. Strzelam do najwyraźniejszego, dziczek zostaje w ogniu. Warchlak tylko, ale tyle pracy i emocji kosztował, że radość ze zdobyczy wielka. Nykoła wyciąga dziczka na płaj, po drodze stwierdzamy, że o 50 kroków wyżej leżało drugie stado dzików. Aha, to dlatego tropów było tyle i dlatego tak trudno było je odczytywać. Na płaju objuczam się obu parami nart, a Nykoła ciągnie dziczka, z góry jakoś to idzie. Dwa kilometry niżej na połoninie spotykamy hucułów, zwożących siano. Zabierają moją zdobycz. Lekko już zatem a radośnie mkniemy na deskach ku domowi.

Szósty dzień pobytu w górach zastaje mnie znów w drodze na 46 oddział, ale po drodze przecinamy przesmyk grubego znajomego. Stop! Przeszedł na 45-ty. Nie wrócił, musi tam gdzieś na zboczu leżeć w ciepłym barłogu. Poszedł swoją drogą przez po-

tok i dalej do obfitego korytka w 45-tym. Zostawiamy narty nad potokiem i z bijącem sercem zaczynamy posuwać się za tropem.

Gruby przyjaciel wodził nas niemało. Obeszliśmy zbocze dookoła, pod sam szczyt i znów na dół, nad potok, teraz zawrócił do środka oddziału. Najadł się tam pod szczytem dosyta, to musi gdzieś leżeć niedaleko. Posuwamy się o 100 metrów wszystkiego od tropu wejściowego i równolegle do niego. Dzik jest obcięty prawie naokoło. Jeszcze parę kroków... i mignęły na jakieś 80 kroków nastroszone pióra, zakręcony ogonek i tyle wszystkiego — zanim się nawet złożyć zdążyłem. Rzucam się nad potok, nad trop wejściowy, na Nykołę wołam, by szedł za dzikiem, który skierował się początkowo ku środkowi oddziału. Może zdążę... W życiu jeszcze takiego biegu naprzełaj nie uprawiałem. Biegnę, skaczę przez kłody, zsuwam się po pochyłości, byle naprzód, byle prędzej. W pośpiechu skręciłem nadto na prawo, wpakowałem się na bardzo strome zbocze nad potokiem, pojechałem na dół (za narty czy saneczki posłużyły własne plecy) i utknąłem w połowie stromizny. Brakło mi 100 metrów. Zanim się wydobyłem z opresji, nietylko dzik ale i Nykoła nadszedł nad potok.



Trop jelenia na połoninie. Fot. J. Błeszyński.

Czemuż, ach czemuż iskra dowcipu nie podsunęła mi 10 minut wcześniej tak prostego rozwiązania: iść na trop wejściowy na przesmyku, a Nykole polecić ruszyć dzika. Miałbym dzika na 10 kroków, jak to później stwierdziliśmy. Ano, mądry Polak po szkodzie... Na dziś dosyć, jutro będziemy próbować w 46-ym oddziale, do którego dziś nie doszliśmy.

Niosą mnie znów narty w cudny słoneczny ranek, najpierw torem kolejki leśnej, potem przez łąkę i zrąb na t. zw. Fedorów górny. Piękny jest świat, oglądany ze szczytu, poprzez zalesione zbocza, obsypany miljardami brylancików, migocących wszystkiemi barwami tęczy, otulony czystą szatą głębokiego śniegu. Czuję się wypoczęty dopiero na szczycie, gdy płuca rozkoszują się przeczystem powietrzem, niezamąconem najmniejszym pyłkiem. Tam na dole, w ogrzanym pokoju, czuję się źle, zmęczony — dopiero gdy deski skrzypią po śniegu, gdy oko może zsuwać się w głąb dolin, dopiero wtedy czuję skrzydła u ramion — i świat do mnie należy. Mam wracać? O nie! Jeszcze sił na dziś wystarczy, a jutro? Jutro zobaczymy, może wracać trzeba będzie, może przyjdzie wieść, gdzieś z dolin, zza mgieł i dymów wielotysięcznego miasta, że wracać już trzeba. No, wtedy zobaczymy, ale dziś do mnie należy, dziś jeszcze zatopię się w cudną karpacką knieję, dziś będę jeszcze z wiernym stalowym przyjacielem w ręku tropił czarnego zwierza i z bijącem sercem wypatrywał, czy nie zamajaczy czarny cień, umykający przed łowcą z wygodnego barłogu.

Znów pnę się za Nykołą przez 47-y oddział. Przetrząsamy grzbiet, gdzie przed dwoma dniami spotkaliśmy grube dziki. Nic tu dziś ciekawego nie widzimy. Ale nieco niżej natrafiamy na świeży trop, znaczący głęboką brózdą gładką powierzchnię śniegu na połoninie. Jest i żerowisko. Smacznie sobie dziczki podjadły. Poszły na 48-y. Przecinamy oddział tym samym płajem, poniżej którego ubiłem oba dziki. Narty są już daleko za nami, idę pierwszy, powoli, badając uważnie każdy prześwit w dość gęstym jodłowym podroście. Właśnie w takim prześwicie ruszył cień, drugi, trzeci... Podnoszę ekspres, jeden z dzików przystanął na mgnienie oka... ruszył dalej... mierzę... znów jakby zatrzymał się... strzał i... wszystko znikło. Tak chybić! Zdekonfiturowany wracam, samopoczucie fatalne. Po drodze próbujemy jeszcze potropić za innem stadkiem, ale przezorna locha wyprowadziła swe latorośle gdzieś daleko, za jeden i drugi potok, ku gąszczom za t. zw. Tokarnię. Ciemno, trzeba jeszcze wracać po narty i wspiąć się przy tej sposobności do połowy zbocza, skąd nas dziki het na dół sprowadziły.

Dziś powrót nie ma charakteru tryumfalnego. Mówi się: trudno. Jeszcze jeden dzień, ósmy dla porządku, włóczę się po górach, przyznaję, że resztkami sił, ale też dziś wieczorem opuszczam już gościnne progi Ilemni. Tropiłem tego grubego znajomego z 45-go. Był w nocy przy swem korytku, ale wrócił na dzień w gąszcze pod owe pamiętne strome zbocze. Naprędce zbieram nagankę przy pomocy spotkanego gajowego i kilku huculów. Iść za tropem już nie ryzykuję. Nic z tego nie wyszło. Stałem dwie godziny na 20° C mrozie, ledwo wytrzymałem tę operację, a odyniec zamiast na swój przesmyk, poszedł gdzieś bokiem, dla pewności, swojej oczywiście. Fuknął tylko w gąszczu na Nykołę, gdy go z barłogu poruszył. O trzeciej po południu jeszcze łudziłem się, że wyjdzie na mnie odyniec z mroków świerkowego gąszczu, a już w 8 godzin później zmieszałem się z tłumem „cywilów" na Dworcu Czerniowieckim we Lwowie.

Ale przy pierwszej sposobności znów drapnę w góry — przyrzekam uroczyście!

JERZY BŁESZYŃSKI

CECHOWANIE BRONI

W jakim stopniu powinien przeciętny myśliwy znać się na samej broni oraz na cechach stali, z której broń jest wykonana — nie jest kwestją błahą.

Ogólnie spotykane obecnie bronie podzielić można zgrubsza na dwie grupy.

Do pierwszej grupy zaliczam wszystkie bronie, które można jeszcze używać, lecz które — dzięki swej budowie — nie przedstawiają większej wartości. Są to mianowicie wszelkiego rodzaju kapiszonówki, bronie przerabiane z dawnych broni wojskowych oraz bronie odtylcowe do nabojów o spłonkach iglicowych typu „Lefaucheux". Bronie te, do dziś dnia używane gdzieś w zapadłych kątach, mogą nawet zupełnie dobrze służyć.

Do drugiej grupy należy zaliczyć wszelkie bronie do nabojów normalnych, ze spłonką typu „Gevelot", umieszczoną w środku dna łuski.

Na broni, tej najważniejszej części wyekwipowania myśliwskiego, zna się stosunkowo niewielu myśliwych. Bo też i różni są myśliwi. Są myśliwi bardzo dobrzy, którzy strzelają doskonale z b. dobrej broni. Są myśliwi b. dobrzy, którzy doskonale strzelają z przeciętnej broni. Nareszcie do ostatniej grupy myśliwych zaliczyć można tych, którzy źle strzelają z b. dobrej broni.

Obecnie na broni znać się jest dość trudno. Mamy tak wielką ilość różnorodnej broni — broni budowanej do specjalnie określonej zwierzyny itp., że przy zakupowaniu jej, jeżeli nie jest ona bardzo wysokiej klasy, wybiera się ją według firmy, ceny, systemu, a częstokroć rady bardziej doświadczonego myśliwego. Przy kupnie panuje rozpowszechniony system przystrzeliwania broni, od wyniku którego zależny jest wybór.

Nic bardziej błędnego, jak to dorywcze przystrzeliwanie na strzelnicy. Po pierwsze: każda szanująca się fabryka i każdy szanujący się rusznikarz, wypuszczając na rynek nawet najtańszą broń, w dobrze zrozumianym interesie nie wypuści broni źle bijącej; następnie przystrzeliwanie na strzelnicy odbywa się w warunkach b. dobrych, innych niż na polowaniu, gdzie warunki strzału bywają też różne. Przystrzeliwanie powinno się odbywać ściśle nabojami, dla których broń jest skonstruowana, a następnie na przystrzeliwanie mogą sobie pozwolić b. dobrzy strzelcy.

Broń myśliwska, zanim zostanie wypuszczona na rynek, przechodzi cały szereg prób, oddaje całą serję strzałów, podczas których dokonywane dokładne pomiary przewyższają kilkakrotnie swoją dokładnością maksymalne możliwości, które jest zdolny osiągnąć b. dobry strzelec w normalnych warunkach terenowych. Amunicja używana do tych prób jest również specjalnie precyzyjna. Wszystkie pomiary są uskuteczniane zapomocą specjalnie zbudowanych aparatów i na podstawie wszystkich tych prób zostają wyregulowane przyrządy celownicze broni. Dopiero na podstawie tych prób wypracowuje się specjalne świadectwo broni, którego zawsze można przy kupnie zażądać. Jasnem jest wobec tego, że przy przystrzeliwaniu broni przez myśliwego, nawet odpowiedniemi nabojami, może go to jedynie b. słabo zorjentować w składności i rozrzucie, ale nigdy nie da mu pojęcia o właściwej celności broni. Przy broni kulowej znaczenie próbnego strzelania jest jeszcze mniejsze.

Broń obecnie wypuszczaną na rynek podzielić można na trzy zasadnicze grupy.

Do pierwszej zaliczają się bronie taniej produkcji maszynowej, do budowy których użyto surowców niższego gatunku. Bronie takie są wypuszczane przez duże fabryki, strzelają zupełnie dobrze, czasami nawet bardzo dobrze i jedyną ich wadą jest to, że broń taka po oddaniu większej ilości strzałów kompletnie się rozluzowuje. To rozluzowanie broni można do pewnego stopnia usunąć przez wymianę części zużytych na nowe, co w broniach produkcji maszynowej jest b. łatwe.

Do drugiej grupy zaliczają się bronie w średnim gatunku, a mianowicie są to praktycznie biorąc najlepsze bronie użytkowe. Pochodzą one albo z b. dużych fabryk, albo też od b. dobrych rusznikarzy. Są one b. starannie wykonane, z doskonałego materjału. Pod względem strzału wszystkie są b. dobre.



Pokot Nadniem. Kółka Łow. w Bersztach. Fot. A. Bądzyński.

Do trzeciej i ostatniej grupy zaliczamy bronie wykonane przez najlepszych rusznikarzy. Wszystkie części tych broni są wykonane z najbardziej doskonałych surowców, jakie dostarcza obecna technika. Bronie te różnią się niewiele od poprzednich tak pod względem maksymalnego strzału, jak i gęstości pokrycia, mogą się też od nich nawet wcale pod tym względem nie różnić. Cenę natomiast podnoszą niezmiernie rozmaite ulepszenia i luksusy, nie posiadające właściwie wpływu na strzał, jak złocone zamki, specjalnie dobierane drzewo na łoża, grawerunek wykonany przez artystów itp.

O ile ogólnie biorąc myśliwi zdają sobie zupełnie dobrze sprawę z opinji, jaką ma broń wypuszczona przez tę lub ową fabrykę, lub przez takiego to a takiego rusznikarza, o tyle cechy na broni mało są przez nich znane. Znawstwo cech na stali nie jest rzeczą konieczną dla myśliwego: kupującemu nową broń sprzedawca daje odrazu odpowiednią amunicję, albo też myśliwy nabywa broń na zgóry już wybraną — i taką też później używa.

Ze względu na to, że na polskim rynku spotykamy broń różnego pochodzenia, orjentowanie się w cechach stali jest osiągalne jedynie przy pomocy fachowego dzieła z zakresu bronioznawstwa.

(C. d. n.). BROCHWICZ

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. ALEKSANDER JANASZ Z DAŃKOWA

Dnia 3-go stycznia 1939 roku zakończył życie ś. p. Aleksander Janasz z Dańkowa.

Odszedł w sile wieku wartościowy obywatel, zasłużony człowiek, ceniony i lubiany przez wszystkich, którzy Go znali, lub mogli z Nim współpracować.

Wysiłki Jego, by podnieść stan łowiectwa w pow. grójeckim, wymagają specjalnego podkreślenia. Ś. p. Al. Janasz, jako Delegat Polskiego Związku Łowieckiego na pow. grójecki, był pionierem w tej dziedzinie na naszym terenie. Jako pierwszy Łowczy Powiatowy P. Z. Ł., położył ogromne zasługi w dziedzinie organizacji łowiectwa w pow. grójeckim.

Pogarszające się zdrowie zmusiło ś. p. Al. Janasza do złożenia urzędu Łowczego Pow. temu kilka miesięcy, lecz pozostawszy członkiem Pow. Rady Łowieckiej służył On nadal swą cenną radą i pomocą sprawom łowiectwa.

W sercach naszych i w dziele rozpoczętem przez ś. p. Aleksandra Janasza będzie wspomnienie o Nim żyć nadal. Cześć Jego pamięci.

TADEUSZ MORAWSKI
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

Sprostowanie opuszczenia w „Nowem rozporządzeniu o czasach ochronnych"

jakie się wkradło w Nr. 1 „Łowca Polskiego" z r. b., str. 33.

W § 1 powyższego rozporządzenia w punkcie 2), dotyczącym ochrony sarn-kozłów, opuszczono w pierwszym wierszu tegoż słowa: w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 października do 31 maja, co niniejszem prostujemy:

Pełne brzmienie zatem punktu 2) § 1 pomienionego rozporządzenia brzmi, jak następuje:

„2) dla sarn-kozłów w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 października do 31 maja, w województwach: krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem okres od 1 lutego do 31 maja, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 15 maja;"

Zaznaczamy jednak, że w wydrukowanej przedtem tablicy „okresów polowań w r. 1939" (Nr. 36 „Łowca Polskiego" z r. 1938 str. 748) wyżej przytoczony termin ochronny sarn-kozłów dla województw poznańskiego i pomorskiego został uwidoczniony.

REDAKCJA.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Ostatni już raz absorbuję Szanownych Czytelników Grey Owl'em, ostatnia bowiem jego praca ukazała się na półkach księgarskich, w tłomaczeniu polskiem, w sam dzień wigilijny. Naprawdę piękny podarek świąteczny ofiarowała firma wydawnicza „Rój" czytelnikom, a zwłaszcza przyrodnikom i nam myśliwym. Korzystając z urlopu świątecznego, bawiłem wówczas w Warszawie. Myślałem, że w przerwach między wizytami świątecznemi „połknę" tę książkę, jak „łykałem" poprzednie prace Grey Owl'a. Tymczasem stało się inaczej. Już po przeczytaniu kilkunastu stron stwierdziłem, że książkę tę należy przeczytać w skupieniu. Wróciłem do Łucka i tu z zapartym oddechem studjowałem stronicę po stronicy. Książki tej bowiem nie można zwyczajnie przeczytać, trzeba ją przestudjować, przemyśleć, zastanowić się głębiej niemal nad każdem zdaniem.

Ostatnia praca Grey Owl'a nosi tytuł: „Historja pustego szałasu" i jest jakby dalszym ciągiem pracy wydanej w polskiem tłomaczeniu p.t.: „Ludzie z ostatniej granicy". Jest może jeszcze głębsza i tem cenniejsze zawiera myśli.

Są to wspomnienia z wędrówek Szarej Sowy, jego poglądy i rozmyślania. W nich to autor przejawia bajeczną znajomość psychologji zwierząt, będąc równocześnie znawcą duszy ludzkiej. Głębokie ujęcie wpływu przyrody na człowieka stawia Grey Owl'a w szeregu największych, choć zapoznanych, psychologów współczesnych.

Człowiek bowiem dzisiejszy zmęczony jest postępem cywilizacji, wieczną gonitwą za pieniądzem, dość ma nieraz elektryczności, samolotów i precyzyjnych maszyn, dość pracy zawodowej lub tego rodzaju rozrywek co dancingi, pragnie znaleźć się na łonie dzikiej, pierwotnej natury, aby wypocząć nietylko fizycznie, lecz i duchowo.

I słusznie Grey Owl jeszcze raz w tej pracy (uczynił to i w poprzedniej) podkreśla, że właśnie wśród bajecznie pięknej otaczającej nas przyrody człowiek zwykły zastanawia się nad zagadnieiami najgłębszemi, jakiemi są zagadnienie bytu, szczęścia, życia. Otaczająca nas przyroda pomocną jest człowiekowi w wydobyciu z siebie tych możliwości myślenia, które w nim drzemią, gdyż człowiek, będąc maleńkiem ogniwem w olbrzymiej maszynie skomplikowanego dzisiejszego życia, nie ma czasu w zwykłych warunkach zastanawiać się nad zagadnieniami abstrakcyjnemi.

Piękno otaczającej nas przyrody w pierwszej chwili zachwyca, człowiek bowiem najpierw odbiera wrażenia optyczne. W następnej już jednak chwili to piękno przytłacza, człowiek czuje się małym wobec ogromu i potęgi przyrody, ale już znowu w następnej zdaje sobie sprawę z tego, że jest nierozerwalną cząstką tego ogromu i wówczas umysł ludzki nagnie się ku refleksyjności i zacznie zastanawiać się nad najpoważniejszemi zagadnieniami abstrakcyjnemi. Zacznie się w pierwszym rzędzie zastanawiać nad celem swego istnienia i nad stanowiskiem, jakie człowiek w wszechświecie przyrody zajmuje.

Grey Owl rozumie ten wypływ przyrody na pobudliwość myśli ludzkiej i daje czytelnikowi sposobność do sprawdzenia, czy ma rację, wskazując jak należy brać życie i jak żyć, by znaleźć chwile szczęścia. Pieniądze sława, nawet przyjaźń, nie dadzą człowiekowi szczęścia, są bowiem zbyt kruche: pieniądze się wyda, sława — to tylko miraż, łatwo się rozwiewający, przyjaźń — przyjaciela można tak łatwo stracić! Zdaniem jednak Grey Owl'a można znaleźć szczęście, zrozumiawszy cel i wartość życia. A do tego wielce pomocną jest przyroda.

Czy słusznie?...

Trudno jest na to odpowiedzieć, tak różni i różnych zapatrywań są ludzie. Sądzę jednak, że Grey Owl jest bardzo bliskim prawdy i rozwiązania zagadki szczęścia.

Bo, gdy poznamy wartość życia, nauczymy się cenić je, a znając istotny, ten głęboko nieraz ukryty cel naszego życia i dążąc do niego wytrwale, znajdziemy zadowolenie, równające się szczęściu. Bo szczęście nie leży w osiągnięciu celu, leży w dążeniu do niego. Myśl, serce, rozum ludzki nie są w stanie postawić sobie celu takiego, którego osiągnięcie byłoby szczęściem. Stawiamy sobie mniejsze lub większe cele, na miarę naszą, to jest małą i, osiągnąwszy ten cel, dopiero wówczas zdajemy sobie sprawę z jego małości. Ale dążyć wytrwale i konsekwentnie do celu, uzyskując stopniowo szczeble, wiodące w górę, zbliżające nas do kresu naszej wędrówki, w tem jednem może człowiek znajduje prawdziwe zadowolenie.

Grey Owl mówi i pisze o tych tak niezmiernie doniosłych i ważnych zagadnieniach w sposób tak prosty, bez patosu, bez stawiania siebie za przykład, bez narzucania czytelnikowi swych poglądów i myśli, ot poprostu mówi: „ja tak to rozumiem, ja tak to zrobiłem, spróbujcie i wy, a może i wam lżej i łatwiej będzie żyć".

Bo żyć dziś każdemu jest trudno, choć pozory nieraz mówią co innego.

Ostatni dziś raz piszę o pracach Grey Owl'a, dlatego, korzystając ze sposobności, raz jeszcze omówię charakter jego prac.

Nie jest przyrodnikiem, choć zna obyczaje zwierząt i jego obserwacje fauny kanadyjskiej mogą stanowić wielką pomoc dla przyrodników.

Przestał być myśliwym, ale nie potępia polowania. Stwierdza tylko, że zbyt gorliwa ingerencja człowieka w kształtowaniu się przyrody jest niekorzystna dla tej ostatniej. I słusznie nawołuje do zmiany stanowiska niektórych myśliwych do całego szeregu zwierząt.

Posłuchajmy co sam o tem mówi:

„Owszem wilk wyrządza szkody w zwierzostanie puszczy i porywa chętnie zwierzęta domowe, zabijaj go więc, jeśli tak ci się podoba i jeśli potrafisz, ale nie złorzecz mu niesłusznie. Jak wszystkie inne żywe stworzenia, posiada on swoje miejsce we wszechświecie. Czyś się nigdy nie zamyślił nad tem zjawiskiem, że gdy biały człowiek przyszedł tutaj, zarówno jeleniom jak i wilkom powodziło się nadzwyczajnie? Równowaga była doskonale utrzymana. Wiem, musimy zabijać wilki; ja już zresztą przypadającą na mnie część zabiłem. Ale nie należy wilka potępiać za to, że posłuszny jest swemu instynktowi, podobnie jak nie należy potępiać bobra za ścinanie drzew lub wieloryba za połykanie sardynek. Człowiek nie ma prawa potępiać metod Natury, gdyż sam, dzięki niewłaściwym metodom uprawy roli, zamienia ogromne obszary żyznej ziemi w pustynię, a przez zbrodniczą nieostrożność spala setki tysięcy kilometrów kwadratowych najlepszych lasów północno-amerykańskich".

„Wskutek ciemnoty, bezmyślności lub braku wyrozumiałości wielu ludzi, którzy bywali w puszczy, niektóre zupełnie nieszkodliwe zwierzęta uzyskały opinję, na którą nie zasługują; cierpią też z tego powodu niesłusznie"...

To „credo ochroniarskie" Grey Owl'a w niczem nie kłóci się z zasadami prawidłowego łowiectwa. Wszak sam mówi: „zabijajcie", ale nie bezmyślnie, z umiarem i bez uprzedzenia do danego gatunku. Dalej pisze, aby człowiek nie poprawiał natury, by zachował równowagę w przyrodzie. Czyż szpalty „Łowca Polskiego" nie są przepełnione tego samego rodzaju zdaniami? Gdzież więc szkodliwość książek Grey Owl'a?

Grey Owl jest przykładem, że można być ochroniarzem, rozumiejąc postulaty prawidłowego łowiectwa i odwrotnie. A że sam dziś woli hodować, niż zabijać, to jego czysto osobista sprawa i zapatrywanie.

Grey Owl poznał „rozkosze życia cywilizowanego" i wrócił do Kanady, do swoich ukochanych puszcz, które były dla niego wszystkiem.

A czem były one dla niego, dowiadujemy się z jego własnych słów:

„Może czytelnicy, których miałem bawić, uznają te rozważania za niepotrzebnie poważne, jednak życie moje wymaga nietylko czujności, ale również i rozmyślań! Pamiętaj, czytelniku, że ci, którzy mieszkają w Świątyni Natury, widzą rzeczy niedostrzegalne dla ludzi, wiodących zwykły, ludzki tryb życia. W tych ogromnych, wysokopiennych lasach unosi się jakaś atmosfera świętości, która każe mi myśleć o mrocznych klasztorach i starych, wielkich katedrach Anglji. Ona to sprawia, że ceremonjalność i nieszczerość wielu obrządków wydaje mi się tania i hałaśliwa w zestawieniu z puszczą".

Ostatnio wydaną pracę Grey Owl'a podzielić można na dwie części: ludzką i zwierzęcą. W ludzkiej opisuje życie i typy traperów północnych, ludzi czasem może brutalnych, ale zawsze prostych, uczciwych i prawych. W zwierzęcej części opisuje cały szereg stworzeń, które odwiedzały go w jego leśnej chacie.

Ostatnio wydana książka zamyka całą spuściznę literacką Szarej Sowy. Zawiera w sobie „nową ewangielię miłości przyrody" i dlatego porwać musi myśliwego, przyrodnika i ochroniarza. Bo te trzy zawody idą w szeregu ze sobą, te trzy ukochania mają tyle stycznych punktów!

Wraz ze śmiercią Szarej Sowy, tego Indjanina-literata, zszedł w cień i mrok śmierci człowiek niepospolity, pisarz i myśliciel wysokiej klasy i wartości. I powstał jeden pomnik kultury wewnętrznej Indjan, nad brakiem którego biadał Grey Owl.

Żałować dziś można, że Grey Owl nie żyje, nie wyczerpał bowiem jeszcze wszystkich swych możliwości, nie spisał wszystkich obserwacyj i nie nauczył ludzkości poszanowania praw natury.

Ale ziarno przez niego rzucone nie poszło na marne, przyjęte chociażby w kilkunastu sercach, wyda owoce. Ci, co przejęli się jego ideałami, wpajać je będą w innych. Wierzę głęboko, że posiew ten wyda rezultaty i nie pójdzie na marne.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND.

Nr. 39/1938, str. 632. V. Pantenburg *„Wyprawa łowiecka do Arktyki"*. — Raz na rok, w miesiącu lipcu, wyrusza z portu norweskiego Aalesund ekspedycja, organizowana przez „Svalbardkontor", do północno-wschodniej Grenlandji dla zaopatrzenia obszaru, położonego pomiędzy 71.3 a 75.4 stopniami północnej szerokości geograficznej, w żywność i niezbędny ekwipunek dla ludzi, obsługujących stację radjową w Myggbukta, oraz dla zawodowych łowców zwierząt futerkowych.

W r. ub. wziął udział w takiej ekspedycji autor artykułu wraz z 6 innymi myśliwymi ze Skandynawji. Po 5 dniach burzliwej przeprawy kuter motorowy „Polarbjörn" wszedł w nasuwające się z północy lody. Pierwsza zwierzyna, na którą natknął się statek, była foka. Wygrzewała się na słońcu, jak zwykle, przy samym brzegu kry. I to właśnie stanowi trudność zdobycia foki — o ile nie zostanie uśmiercona i unieruchomiona, odrazu spada do wody i ginie, bo idzie odrazu na dno. Tak też było z pierwszą foką. Dopiero drugą, trafioną śmiertelnie w głowę, udało się zdobyć ku zadowoleniu kapitana, potrzebującego żywności dla 6-ciu psów zaprzęgowych. Skóra foki polarnej ma krótki, lśniący włos, tworzący plamy niebieskie, szare i bronzowe.

Drugie spotkanie myśliwskie stanowiła rodzina białych niedźwiedzi, składająca się z matki i trojga młodych, z tych jedno

roczne, a dwa — dwulatki. Statek przepłynął tuż obok niedźwiedzi, przeprawiających się wpław z jednej kry na drugą, ale nie strzelano ze względu na obecność niedźwiedziątek, które do ukończonych conajmniej dwóch lat nie dają sobie rady bez matki. Powściągliwość ta została wynagrodzona przez natknięcie się wkrótce na samotnego niedźwiedzia. Dwaj myśliwi, wyznaczeni przez losowanie, zeszli na krę i kryjąc się za zwałami lodu, powstającemi przy ścieraniu się pól lodowych, podeszli do niedźwiedzia na 80 metrów. Dwa strzały zwaliły wspaniałe zwierzę, mierzące ponad 2 m. długości. I tu mięso poszło na karm dla psów pociągowych.

Po dłuższej podróży wśród lodów statek zbliżył się wreszcie do brzegów Grenlandji, przedstawiających tu szereg głęboko wcinających się w ląd fjordów. Zadaniem statku było odwiedzanie rozrzuconych na pobrzeżu stacyj łowieckich, bądź zamieszkiwanych czasowo przez zdobywców skór, bądź też służących im tylko za punkt oparcia czy skład. Krótkie, bo 6—7 tylko tygodni trwające lato polarne było tu w całej pełni. Słońce nie zachodziło za horyzont. Niezmierzone płaszczyzny, obrzeżone dalekiemi, pokrytemi wiecznym śniegiem górami, mieniły się jaskrawemi barwami czerwonych i żółtych maków polarnych, oraz białych i niebieskich innych kwiatów arktycznych. Na brzegach jezior i błot gnieździły się stada gęsi edredonowych, dzikich kaczek i kuropatw śnieżnych, tem się różniących od pardw europejskich, że nie zmieniają barwy latem i pozostają zawsze białe. Wiecznie białemi są również zające polarne, których 5 sztuk upolowali myśliwi. Były to sztuki wyrośnięte, o wadze ponad 5 kg., z wydłużonemi skokami tylnemi, ułatwiającemi wspinanie się w góry. Koło stacji „Giaeverdalen" wkroczyli podróżnicy w krainę najwspanialszej zwierzyny arktycznej — wołów piżmowych (*Ovibos moschatus*). Spotyka się je wyłącznie tu, na archipelagu kanadyjskim oraz na najbardziej wysuniętym na północ cyplu kontynentu europejskiego. Według obliczeń norweskich badaczy, liczba wołów piżmowych sięga obecnie 10—12 tysięcy sztuk. Przed zagładą chroni je nietylko zakaz strzelania ponad istotną potrzebę (do celów odżywiania), ale i własny interes myśliwych zawodowych, zmuszonych dbać o rezerwę żywnościową w długich okresach odcięcia od świata. Pozatem ochronę naturalną stanowi dla byków piżmowych oddalenie od skupisk ludzkich i nadzwyczajna trudność dotarcia do pobrzeża grenlandzkiego.

Myśliwym z „Polarbjörn" udało się wytropić dwa byki piżmowe, pasące się już u podnóża gór. Byli nawet świadkami ciekawej walki pomiędzy niemi, toczonej zresztą raczej dla zabawy. Byki rozbiegały się i uderzały głowami, zaopatrzonemi w ogromne, płaskie u podstawy, zachylone ku dołowi, jak u bawołów, rogi, zakończone zwróconemi ku przodowi ostrzami. Od potężnych tych uderzeń szło od gór echo, jakby wystrzału. Tułów byka, porośnięty długim niemal do ziemi włosem z kłakami puszystego poszycia, które pozwala wołom znosić straszne polarne mrozy, czyni wrażenie tworu przedpotopowego. Pierwszy strzał kulą w czoło z odległości 60 m. nie zwalił byka, przeciwnie, rzucił się on z pasją naprzód, wyrzucając głową i racicami żwir i piasek. Dopiero drugi i trzeci strzał na komorę unieruchomił potężne zwierzę. Ważyło ono 350 kg. Mięso okazało się nadzwyczaj smaczne, bez żadnego zapachu piżma, którego wogóle woły piżmowe nie posiadają. Powstanie nazwy jest dotąd niewyjaśnione. J. G.

ROZMAITOŚCI

MŁODOCIANY ZDOBYWCA WILKA

Szanowna Redakcjo!

Przed chwilą odebrałem od mojego jedenastoletniego siostrzeńca, Krzysztofa Szaszkiewicza, list, którego dosłowną treść podaję do łaskawego zamieszczenia w Łowcu Polskim:

„Kochany Wujciu! Przesyłam Wujciowi, Cioci i Dziewczynkom najlepsze życzenia na Nowy Rok. Dzisiaj, gdy Papa był w Mostach, przyszła wiadomość, że są tropione wilki w Kościeszkach. Zaraz tam pojechaliśmy z Wujem Andrzejem i Panem Gałczyńskim. Ja stałem na rogu szerokiej linji. Wkrótce wyszedł na linję duży wilk, wolnym galopem ode mnie o 67 kroków. Wtedy do niego strzeliłem. Myślałem z początku, że chybiłem, ale wkrótce nadjechał p. Kreutzer i poszliśmy z nim śladami wilka. O sto kroków dalej zobaczyliśmy farbę, a o dwadzieścia kroków dalej pod drzewem leżał olbrzymi basior. Koło Wujcia Andrzeja przeszła wadera, lecz była ona na 76 kroków i Wujcio jej nie zauważył. Całuję ręce Kochanemu Wujciowi. Krzyś Szaszkiewicz".

Rzecz dzieje się w Ordynacji Roś, powiatu wołkowyskiego.

ADAM BRANICKI.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— W Sokołowie i Studzieniu u p. Aleksandra Płoskiego odbyły się w ostatnim sezonie następujące polowania:

I. dnia 10 września 1938 r. polowano w Sokołowie na kury; podniesiono 316 kuropatw. W polowaniu tem wzięli udział pp.: Artur Barthel, Zdzisław Borzewski, Juljan Chłapowski, pułk. armji angielskiej J. Campbell, Leopold bar. Kronenberg, Konstanty Łyskowski i Włodzimierz ks. Puzyna.

II. dnia 31 października 1938 r. na folwarku Studzień polowali pp.: Leopold bar. Kronenberg, Feliks Krzymuski, Juljan Prądzyński, Henryk Sokołowski, Tadeusz Sułowski, Bohdan Zieleniewski i gospodarz. Rezultat polowania: 154 zające, 119 bażantów, 28 królików, 32 kuropatwy i 1 słonka; razem 334 sztuki.

III. dnia 30 listopada i 1 grudnia 1938 r., odbyło się polowanie w Sokołowie z udziałem 11 strzelb. Dnia 30 listopada polowali pp. Zdzisław Borzewski, Olgierd ks. Czartoryski, Karol bar. Ike-Duninowski, Jan Koźmian, senator Eryk hr. Kurnatowski, Konstanty Łyskowski, Gustaw Janasz, Henryk bar. Maltzan, Maurycy hr. Potocki, Tadeusz Siemieński i Marceli hr. Żółtowski. Podniesiono: 775 bażantów, 20 kuropatw, 171 zajęcy, 667 królików, razem 1633 sztuki. Najlepszy rozkład w tym dniu miał baron Ike-Duninowski — 197 sztuk.

W drugim dniu polowania polowali ci sami, z wyjątkiem p. Gustawa Janasza i barona Ike-Duninowskiego, którzy wyjechali, natomiast na ich miejsce wzięli udział w polowaniu pp. Artur Barthel, Jan Donimirski, Jerzy hr. Mielżyński i Feliks Krzymuski. Na pokocie tego dnia było 1023 sztuki.

Ogółem w dwa dni ubito 822 zające, 696 królików, 939 bażantów, 196 kuropatw i 2 lisy. Razem 2656. Najlepszy rozkład obu dni miał p. Tadeusz Siemieński — sztuk 302.

Jest to wprawdzie rekord dwudniowego polowania w Sokołowie, jednak należy stwierdzić spadek o blisko 500 sztuk zajęcy w stosunku do poprzedniego polowania, a zastąpienie ich przez króliki. Natomiast stan bażantów bardzo się poprawił a pokot wzrósł o 450 sztuk.

IV. dnia 2 stycznia 1939 r. polowano w 6 strzelb na króliki. Niestety, z powodu zadymki śnieżnej, polowanie się nie udało. Zabito 130 królików. Najwięcej zabił Bogdan hr. Szembek.

Łącznie w ubiegłym sezonie, doliczając 80 kuropatw, 41 królików i 9 kogutów bażancich, zabitych przez właściciela, rezultat polowań wyniósł 3566 sztuk zwierzyny łownej, w czem 977 zajęcy, 1067 bażantów, 634 kuropatwy, 888 królików.

*

— Dn. 4.I.1939 r. w lasach państwowych nadleśnictwa Drohiczyn (woj. poleskie) odbyło się polowanie, w którem udział

wzięli: pp. Zalewscy, Plater J., Krasicki W., Bańkowski W., Pankiewicz A., Truskolaski T., Orda W., Miłaczewski B., Olędzki J. i Falkowski E.

Ubito 2 wilki (duża wilczyca p. E. Falkowskiego i wilczek p. A. Pankiewicza) 1 sporą lochę (p. W. Bańkowskiego), 2 lisy i 10 zajęcy.

*

— W dobrach Gierczyce odbyły się dwa polowania:

1) w lesie Jeziórko 23.XI.1938 r. w 10 strzelb ubito 286 sztuk, w tem 2 lisy, 2 słonki, 1 bażanta, 4 rożne, 17 zajęcy i 260 królików.

2) w maj. Gierczyce na polach 7.I.1939 r. w 6 strzelb ubito 172 zające.

*

— W dniach 15 i 16 XI 1938 r. odbyło się u Księżnej Ksawerowej Druckiej Lubeckiej w Dłoni (Wlkp.) polowanie, na którem ubito: 712 bażantów, 602 zające, 106 kuropatw, 2 lisy, 254 króliki, 3 krogulce; razem 1679 sztuk.

Udział w polowaniu brali: Hr. Adolfowa Bnińska, Ks. Sapieha, hr. Konstantyn Bniński, hr. Jan Szołdrski, hr. Marjan Czarnecki, ks. Jan Drucki Lubecki. Największą ilość ubili 15-go Marjan hr. Czarnecki (202) i hr. Szołdrski (188); 16-go Adolfowa hr. Bnińska (150) i hr. Marjan Czarnecki (150). W drugim dniu od śniadania polowano tylko w 4 strzelby. Pogoda: pochmurno i deszcz. Opolowano 60 ha zagajników i 1000 ha pola.

*

— W dobrach Woroniec u Kazimierza ks. Światopołk Mirskiego odbyły się następujące polowania:

Dnia 7.XII.1938 r. polowanie na bażanty, na którem ubito 476 bażantów i 131 zajęcy. Udział w polowaniu wzięli (kolejność według ilości ubitej zwierzyny) St. bar. Rosenwerth, Fr. Wężyk, A. Morawski, A. hr. Potocki, A. Karski, L. Kugler, T. hr. Plater Zyberk.

Dnia 17.XII.1938 r. polowanie na terenach wydzierżawionych, na którem w 14 strzelb ubito: 3 rogacze, 2 lisy, 5 bażantów i 331 zajęcy.

Dnia 29.XII.1938 r., polowanie dla najmłodszych myśliwych. W 5 strzelb ubito: 23 bażanty i 151 zajęcy.

*

— W dn. 13 i 14 stycznia r. b. w dobrach Żołudzkich ks. Ludwika Czetwertyńskiego ubito na polowaniu 3 wilki i 8 dzików, w tem kapitalnego odyńca.

*

— W dn. 4, 6, 7 i 8 stycznia odbyło się polowanie na terenach Bersztańskich Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego. Przy udziale 13 strzelb ubito 5 wilków 19 dzików, 2 lisy, 1 bielaka i 2 szaraki. W dn. 4 stycznia polowano na wilki w sznurach, przyczem dwa wilki padły z ręki p. mec. W. Łuczyńskiego z Wilna, p. o. Prezesa Wileńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

*

— Dnia 2 stycznia r. b. odbyło się polowanie w maj. Potworów, pow. radomskiego, u pp. Michałostwa Bonieckich. Opolowano świeżo wzięty w dzierżawę teren włościański i teren majątku. Udział wzięli pp. A. Boniecki, St. Konarski, komandor hr. Andrzej Łoś z małżonką, hr. Adam i Stanisław Łoś, hr. Edward Plater jr. i gospodarz. Upolowano 210 zajęcy i 3 króliki. Przy prawie równych rozkładach, najwięcej miał hr. St. Łoś — 38 szt.

— 28.XII 1938 r. w cztery strzelby opolowano dzierżawiony teren włościański z rozkładem 65 zajęcy.

Na tym samym terenie w cztery strzelby podniesiono 9 września 1938 r. 114 kuropatw.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

MIANOWANIA ŁOWCZYCH I PODŁOWCZYCH POWIATOWYCH.

Wykaz

Łowczych i Podłowczych Powiatowych P. Z. Ł., mianowanych i odwołanych przez Lubelską Wojewódzką Radę Łowiecką na terenie woj. lubelskiego, w okresie od 12 września 1938 r. do 4 stycznia 1939 roku.

1. Powiat Lublin.

a) Odwołany: Podłowczy Nowakowski Jan, Bełżyce, Babin.
b) Mianowany: Podłowczy Pomorski Edmund, Bełżyce

2. Powiat Puławy.

a) Mianowany: Podłowczy Strażyc Stanisław, Karczmiska Owczarnia.

3. Powiat Siedlce.

a) Mianowany: Łowczy Kęszycki Wacław, adwokat, Siedlce, Kilińskiego 24.

4. Powiat Węgrów.

a) Odwołani: Łowczy Popiel Kazimierz, Węgrów, Turna.
Podłowczy Czapliński Adolf, Węgrów.
b) Mianowani: Łowczy Jaworski Janusz, inż., Sosnowe, Gałki.
Podłowczy Kamiński Jan, inż., Grębków k/Kałuszyna, Stawiska.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT GRODZKI, WARSZAWA-PÓŁNOC

Zgodnie z § 50 statutu P. Z. Ł. odbędzie się w dniu 14 lutego r. b. o godz. 19, w lokalu Związku przy ul. Nowy Świat 35, Walne Zgromadzenie Powiatowe P. Z. Ł. z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie.
2. Odczytanie protokółu z poprzedniego Zgromadzenia.
3) Sprawozdanie Łowczego.
4) Wybór członków Rady Powiatowej i delegatów na Zgromadzenie Wojew. Rady Łow.
5) Wolne wnioski.

Wszyscy członkowie P. Z. Ł. zamieszkali na terenie Starostwa Grodzkiego Warszawa-Północ proszeni są o przybycie.

INŻ. STEFAN ZYGADŁO
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT WŁODAWA, WOJ. LUBELSKIEGO.

W dniu 5 lutego 1939 r. o godzinie 11-ej w lokalu Zarządu Miejskiego w Parczewie, pow. włodawskiego, odbędzie się Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P.Z.Ł. z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie;
2. Wybór 2-ch asesorów i sekretarza;
3. Referat „Łowiectwo a organizacja";
4. Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej;
5. Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie;
6. Uchwalenie budżetu na 1939 rok;
7. Wolne wnioski.

MGR. A. KALICKI
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

POWIAT NOWY TOMYŚL, WOJ. POZNAŃSKIEGO.

Na mocy § 50 statutu Pol. Zw. Łow., zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Pol. Zw. Łow. powiatu Nowotomyskiego na dzień 4 lutego 1939 roku godzina 14-ta, w sali hotelu p. Boni w Opalenicy.

Porządek obrad:

1) Zagajenie i wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum.
2) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zgromadzenia Powiatowego.
3) Sprawozdanie Łowczego Pow. o przebiegu prac Powiatowej Rady Łowieckiej.
4) Referat Delegata Wielk. Wojew. Rady Łow. o celach i zadaniach P. Z. Ł. i o etyce myśliwskiej.
5) Dyskusja nad referatem.
6) Wybór pięciu członków Powiat. Rady Łowieckiej i dwóch delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wolne głosy i wnioski.
8) Zamknięcie obrad.

Przed Walnem Zgromadzeniem o godz. 13-ej przyjmować się będzie nowych PP. Członków do Pol. Zw. Łow.

ANDRZEJ KURNATOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT I MIASTO STRYJ WOJ. STANISŁAWOWSKIEGO.

III Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się dnia 9 lutego 1939 r. o godzinie 16 w Stryju, w sali Rady Powiatowej przy ul. Fruchtmana Nr. 11, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie Zgromadzenia.
2) Wybór sekretarza i 2 asesorów do Prezydjum.
3) Odczytanie protokółu z poprzedniego Zgromadzenia.
4) Sprawozdanie z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej.
5) Wybór 5 członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
6) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie M. T. Ł. jako oddziału P. Z. Ł.
7) Wnioski Powiatowej Rady Łowieckiej w sprawie budżetu i gospodarstwa łowieckiego w powiecie.
8) Wolne wnioski i interpelacje.

Dr. JANUSZ TRZCIENIECKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT OBORNIKI, WOJ. POZNAŃSKIEGO

Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P.Z.Ł. odbędzie się dnia 3.II. 1939 o godz. 15 min. 30 w lokalu p. Narożyńskiego w Obornikach, z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie;
2. Sprawozdanie z dotychczasowej działalności P.R.Ł.;
3. Rozpatrzenie i zatwierdzenie sprawozdania P.R.Ł.;
4. Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej;
5. Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie;
6. Omówienie sprawy chorób, występujących u zajęcy;
7. Omówienie sprawy składek członkowskich w łączności z bezpłatnem otrzymywaniem organu P. Z. Ł.;
8. Wolne wnioski.

Walne Zgromadzenie Powiatowe będzie ważne w pierwszym terminie bez względu na ilość obecnych.

Inż. L. MARTYNIEC
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

POWIAT BŁONIE, WOJ. WARSZAWSKIEGO

Na podstawie § 50 statutu Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się dnia 15 lutego 1939 r. o godz. 17-ej w lokalu KKO. w Grodzisku Maz., ul. Kilińskiego 4, Walne Zgromadzenie członków Polskiego Związku Łowieckiego.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie i wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum Zebrania.
2) Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia.
3) Sprawozdanie z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej za 1938 r.
4) Zgłoszenie kandydatów na Łowczego i Podłowczych powiatowych na 1939 r.
5) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej na 1939 r.
6) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wolne wnioski.

FRANCISZEK HAEBERLE
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

POWIAT PUŁAWY, WOJ. LUBELSKIEGO

Na mocy §§ 50—54 statutu Polskiego Związku Łowieckiego i okólnika N. 15 Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej z dnia 9 grudnia 1938 r. za Nr. 550/38, niniejszem zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego, które odbędzie się dnia 4 lutego r. b. o godz. 14-ej, w sali posiedzeń Wydziału Powiatowego w Puławach — Starostwo.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i 2 asesorów.
3) Zapisy na członków Związku.
4) Sprawozdanie Łowczego z działalności za rok 1938,
5) Wybór 5 członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
6) Wybór 2 delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wnioski w sprawach organizacyjnych.
8) Wnioski w sprawach łowieckich.
9) Wolne wnioski.

STEFAN LEWICKI
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki. **Sekretarz Redakcji:** Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakl. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w Administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO“:

1. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . . zł. 3.—
2. **Blankiety rodowodów dla psów wszystkich ras** . . . . zł. 2.85
3. **Choroby zwierzyny łownej i sposób ich zwalczania**—Inż. Leona Martyńca . . . zł. 0.50
4. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-r K. Wróblewskiego zł. 4.60
5. **Darz bór**—R. Wacek. . . . . . . zł. 1.50
6. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju**—F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
7. **Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Józefa Piłsudskiego**—Wł. Kobylańskiego . . zł. 1.—
8. **Estetyka łowiectwa**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
9. **Św. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.—
10. **Głuszec** — Monografja. Bolesława Świętorzeckiego zł. 2.40
11. **Hodowca a myśliwy** Ernesta hr. Sylva Tarouca zł. 3.—
12. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
13. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł. Kobylańskiego zł. 1.50
14. **Jak unikać wypadków z bronią**—J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
15. **Kalendarz Myśliwski** — na 1931, 1932, 1933, 1935, 1936 i 1937 rok . . . . . po zł. 2.—
16. **Kalendarz Myśliwski na rok 1939** (bez rabatu) zł. 3.—
17. **Krajobrazy i polowania w Polsce**—Pierre Coche'a w języku francuskim . . . . . zł. 6.50
18. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . . zł. 2.—
19. **Leśne wygi** — J. Bieniarz . . . . . zł. 5.—
20. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . . zł. 2.—
21. **Łosie i łososie** — Matgarfa . . . . zł. 7.—
22. **Łowiectwo** — Krawczyńskiego (bez rabatu). . zł. 4.—
23. **Myślistwo z ogary**—Jana hr. Ostroroga . . zł. 1.50
24. **Myślistwo w Panu Tadeuszu**— M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
25. **Nad Nilem niebieskim**—Jana Sztolcmana . zł. 6.—
26. **Nasze psy** — Stefana Błockiego. . . . . zł. 7.—
27. **Nasze skrzydlate drapieżniki** — Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
28. **Obrazki łowieckie** — E. hr. Krasiński. . zł. 3.—
29. **Ocena trofeów myśliwskich** — Inż. H. Knothego drugie wydanie . . . . . . zł. 0.50
30. **O łosiu** —J. Wł. Kobylańskiego . . . zł. 2.—
31. **O wronie i walce z nią w łowisku**— L. Pac-Pomarnackiego . . . . zł. 1.—
32. **Porównawcze tablice broni kulowej europejskiej i amerykańskiej, oraz uwagi do nich** X. Borck Prek . . . . zł. 0.50
33. **Polująca pani** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.50
34. **Próba uporządkowania bibljografji w odrodzonej Polsce** M. Mniszka-Tchorznickiego zł. 2.50
35. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
36. **Ramoty myśliwskie** Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
37. **Ptaki ziem polskich**— J. Sokołowskiego broszura zł. 20.—, oprawna w płótno . . . zł. 25.—
38. **Szczęśliwe dni**. St. hr. Badeniego (bez rab.) zł. 10.—
39. **Tabelka do wyznaczania stanowisk przy udziale 6—27 myśliwych** . . . . zł. 0.25
40. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku**—Inż. T. Śliwińskiego zł. 1.—
41. **W cesarstwie Menelika** — Cz. Odrowąż-Pieniążka . . . . zł. 3.—
42. **W polu i w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
43. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł 1.—
44. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a zł. 1.50
45. **Wzorowy statut kółek łowieckich** . . zł. 0.25
46. **Z tropu w trop** — Paweł Szumilas . . zł. 5.70
47. **Z przeżyć i wrażeń myśliwskich**—Stefana Krzywoszewskiego (bez rabatu). . . zł. 9.—
48. **Żubr.** Historja, obycz. i przyszłość—J. Sztolcmana zł. 3.30
49. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

OGŁOSZENIA DROBNE

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka st. kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę (zające bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Bażantarnik-gajowy lat 32, dobrze obeznany w tym zawodzie, 16 lat pracy, poszukuje posady od 1 IV 1939 r. Zgłoszenia: Stanisław Łysiak, Błonie, p-ta Krośniewice.

Dryling bezkurkowy — śrut kal. 12 — kula kal. 8, wzgl. 7, kupię. Zgłoszenia: Kowalczyk, Bydgoszcz, Matejki 8.

Dwa odyńce roczne, zupełnie oswojone zdatne do zwierzyńca jako reproduktory po zł. 100 za sztukę sprzedam. Antoni Lubowiecki, nadleśniczy, Tomaszów M. Skrytka p. 44.

Jest do sprzedania wyżlica-pointerka oraz dwa szczeniaki. Wiadomość: Kajzer—Warszawa, Mińska 29 m. 4.

Kalendarze myśliwskie, Sylwany oraz dawne tygodniki jak Kłosy, Wędrowiec, Tygodnik Ilustrowany, Biesiada Literacka, Przyjaciel Ludu oraz inne kupuje Józef Kobylański, kapitan rez. Warszawa 1, ul. Górnośląska 16 m. 38. Tel. domowy 9-55-26.

Kupuję żywe bażanty, kuropatwy, zające według najwyższych cen z natychmiastową zapłatą. Siecie do chwytania, instrukcje, opakowanie, stawię bezpłatnie do dyspozycji. Eksport żywej zwierzyny, Wolf v. Bernuth, Borowo-Villa, poczta Czempiń, tel. Czempiń 32.

Leśnik zamiłowany hodowca zwierzyny, znający doskonale gospodarstwo leśne i łowieckie, energiczny tępiciel drapieżników i kłusowników, poszukuje posady od zaraz. Oferty: Maj. Młochów, Grabówka, p-ta Nadarzyn, Józef Bartozal.

Leśnik 31 lat biegły fachowiec leśnictwa, szkółkarz bażantarnik, znawca łowiectwa, energiczny tępiciel kłusowników, siła nawskroś uczciwa, polecona szuka posady żonatego od 1.4 39 r. Oferty Łowiec nr. 170.

Leśnik lat 40, żonaty, 20 lat pracy w Krośniewicach, poszukuje posady od 1 IV 1939 r. Zgłoszenia: bażantarnia Krośniewice, p-ta Ostrowy Warsz.

Leśniczy Bażantarnik 23 lata pracy w Krośniewicach przyjmie posadę od 1 IV 1939 r. Referencje udzieli WPan Nadleśn. Lazar. Oferty kierować Józef Łysiak majątek Błonie p. Krośniewice.

Niemiecka krótkowłosa „Diana z Modlina“ („Vaga“ i „Tuszko-Ornoutowice“, syn „Axla v. Lüttichan“, szampiona Czecho-Słowacji) pokryta w dniu 27.XII.38 r. „Asem“ hodowli p. Dylewskiego („Toska-Trebic“, wnuczka „Enno v. Lüttichan“ i „Hel“, syn Iwana i Waldy p. Abramowicza) Informacje-listowne: Warszawa, ul. Kawęczyńska 31 m. 53, Kołodziejski.

Strażnik lasowy i łowiecki poszukiwany od pierwszego kwietnia. Zgłoszenia z życiorysem, odpisami świadectw i wymaganiami kierować do Zarządu Dóbr Przyborowie p. Grabiny, Małopolska Zachodnia. Nieprzyjęte bez odpowiedzi.

Spaniel Angielski Springer z rodowodem z hodowli Pani Jenerałowej Jarnuszkiewiczowej, urodzony dnia 18.V. 1937 r. Doskonały aporter w polu i na wodę. Silnej budowy. Do sprzedania. Wiadomość Stanisław Meisner Podlodów st. p. Sobieszyn lub Mieczysław Meisner Warszawa Chłodna 5.

Stary, znakomity miód, rzadki trunek, poszukiwany przez znawców, **z lat 1861, 1864 i 1867**, już tylko 60 butelek, w oryginalnem opakowaniu, **okazyjnie do sprzedania** w całości lub częściowo. Wiadomość: „Łowiec Polski“ tel. 666-29. Piśmiennie: Warszawa, Nowy Świat 35. „Łowiec Polski“.

Zające żywe w kompletach bezpośrednio z łowisk kresów południowo-wschodnich lub z Wileńszczyzny zakupię, Zgłoszenia przyjmuje Redakcja pod Nr. 1740.



MUZEUM MYŚLIWSKIE

i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT,

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosiem i na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.



WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.

Wprost kośc. Ś-go Krzyża

JAKÓB MAREK

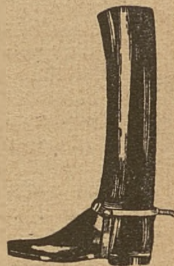
WARSZAWA, UL. BIELAŃSKA 22

POLECA OBUWIE MĘSKIE SPECJALNOŚĆ

BUTY

DO GOSPODARSTWA, DO KONNEJ JAZDY, MYŚLIWSKIE

ROK ZAŁOŻENIA 1869



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni

J. SOSNOWSKI, w Warszawie

sp. z o. o.

Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liège
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki

G. Defourny-Sevrin à Liège
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki pzzystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie

WOJEWÓDZKA RADA

Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego w Wilnie
wydaje tom nowel myśl wskich
WŁODZIMIERZA KORSAKA

pod tytułem:

„LEŚNE OGNISKO"

Cena książki objętości około 200 stron wynosi 3 zł. łącznie z portem.

Zamówienia można nadsyłać pod adresem: Wilno, ul. Mickiewicza 48-21

PAMIĘTAJ O SOLI DLA ZWIERZYNY!

Kupujemy stale żywe zające, bażanty i kuropatwy i prosimy o najtańsze oferty franko granica polsko-niemiecka włącznie z opakowaniem. Willem Engels Wildimport Zwolle Holland.



NOWOŚĆ

MINIATUROWA TRĄBKA MYŚLIWSKA

„wielkość dłoni"

cena zł. 27.50

B. RUDZKI

Warszawa, Marszałkowska 146
na prowincję – za pobraniem.

DLA ZNAWCÓW polecamy DUBELTÓWKI ZNAKOMITYCH BELGIJSKICH RUSZNIKARZY, W LUKSUSOWYM WYKONANIU, **Z BOCZNYMI ZAMKAMI SYSTEMU HOLLANDA,** Z EŻEKTORAMI

wyrobu: **A. Jos. Defourny w cenie zł. 525.–** **Jean Stassart w cenie zł. 1200.–**
Henri Delrez „ , 675 – **Aug. Lebeau „ „ 1650.–**

STRZAŁ MAKSYMALNY! Z LUFAMI WHITWORTH'A DROŻEJ O ZŁ. 550.– DUŻY WYBÓR STRZELB PARZYSTYCH

Wyłączna sprzedaż

W WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

w Warszawie, ul. Królewska 17 oraz w Oddziałach W. S. M. w Poznaniu, Lwowie, Wilnie i Katowicach

PROSPEKTY NA ŻĄDANIE. WZOROWE ZAKŁADY RUSZNIKARSKIE NA MIEJSCU